

Robert Kwiatkowski
Byłem przy egzekucji Kurskiego**Unia walczy**
z cyfrowymi gigantami**Paweł Siergiejczyk**
Lekcja Żeromskiego**Jacek Pańkiewicz**
Solo przez Atlantyk

Gorzej, wolniej i pod dyktando władzy

SĄDY POKOJU

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOJOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

PRZEKŁAD
Elżbieta WOŹNIAK
AUTOR Robin HAWDON

REŻYSERIA Jerzy BÓNCZAK

Prezent urodzinowy

SCENARIUSZ
Klaudia SZALAK

KOSTYUMY
Sylwester KRUPAŃSKI

OPRACOWANIE MUZYCZNE
Marion SZALAKOWSKI

PREMIERA PAŹDZIERNIK 2022

• KUP **BILET** TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl

TEATR W TRASIE

CAPITALNE SPOTKANIA ZE SZTUKĄ



Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programy Narodowego Centrum Kultury. Główna - Jeleniowska, Edycja 2022

Dwie **PARY do PARY**



PIOTRKÓW TRYBUNALSKI

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY

NIEDZIELA 18 WRZEŚNIA GODZ. 15:00

AKT
RÓWNOLEGŁY



OPOCZNO

MIEJSKI DOM KULTURY

PIĄTEK 23 WRZEŚNIA GODZ. 15:00

MAŁŻENSTWO TO MORDERSTWO



ŻYRARDÓW

CENTRUM KULTURY

SOBOTA 15 PAŹDZIERNIKA GODZ. 18:00

MAŁŻENSTWO TO MORDERSTWO



WARSZAWA

TEATR CAPITOL

SOBOTA 22 PAŹDZIERNIKA GODZ. 15:30

SZCZEGÓŁY: WWW.TEATRCAPITOL.PL/CAPITALNE-SPOTKANIA-ZE-SZTUKA



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowane z budżetu państwa - ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partneri Medialni





Rolnik karmiony kłamstwami

Gdy ludziom grozi zima bez opał, a ceny energii i kredytów szaleją, to sprawy wsi schodzą na dalszy plan. Choć nastroje wśród rolników są najgorsze od lat, nie ma Leppera, który by potrząsnął nieudacznikami z PiS. W rolnictwie jest ich jeszcze więcej niż w innych branżach. Ale powoli coś się zmienia. Cierpliwość ludzi się kończy. Wieś, która wyniosła tę prawicową zbieraninę do władzy, może ją za rok pogonić.

Wrzucenie Janusza Kowalskiego na fotel wiceministra rolnictwa wygląda na typowe dla tej władzy naigrawanie się z ludzi. Albo na testowanie cierpliwości rolników. I sprawdzanie, ile jeszcze takich żab mogą połknąć. Takie nominacje, choć wymuszone przez Ziobrę, pokazują, że prezes Kaczyński traci poczucie realizmu. Podobnie jak hierarchia Kościoła katolickiego, która w sprawach wsi, choć oczywiście nie tylko, zachowuje się, jakby była bratem bliźniakiem PiS.

Rolnicy znaleźli się w bardzo marnym położeniu. Spotkania z władzami niewiele dają. A za kłamstwa, które rozdają ministrowie, nie da się kupić coraz droższych nawozów, środków ochrony roślin ani paliwa. Tym bardziej że produkty rolne tanieją. Rynek jest zasypany ukraińskimi zbożami, które miały trafić do portów, ale trafiły do polskich magazynów. Jakoś nikt nie patrzy, że do ich

produkcji używano chemii zakazanej w Unii. Polacy będą kupowali kurczaki karmione taką paszą. Ale kto się tym przejmuje? Liczy się tylko zysk spekulantów z międzynarodowych koncernów. W jakim położeniu są dziś polscy producenci? Sami, bez wsparcia władzy, borykają się z drożyzną, gdy chcą coś kupić, i obniżkami cen, gdy coś sprzedają. Na rosnącą popularność Agrounii i Michała Kołodziejczaka pracuje cała wierchuszka rolna PiS. Począwszy od Janusza Wojciechowskiego, komisarza ds. rolnictwa w Unii, który trafił na tę ważną posadę, choć do tego się nie nadaje. I wicepremiera, ministra rolnictwa, Henryka Kowalczyka, który od premiera Morawieckiego przejął umiejętność kłamania w żywe oczy. Na wiosnę obiecał rolnikom dopłaty do nawozów. Mieli je dostać do końca sierpnia. I co? Tysiące ludzi ciągle czekają. A minister zdążył już obiecać kolejne dopłaty. Do jesiennych nawozów. Na dożynkach prezydenckich odwoływał się do Stwórcy i opatrności. Za rządów takich polityków jak on może to być dla rolników ostatnia nadzieja. Albo ostatnie namaszczenie.

A silnego państwowego banku rolnego jak nie było, tak nie ma. Pomocy dla banków spółdzielczych też. Może Agrounia pójdzie z hasłem „POLSKI BANK DLA POLSKICH ROLNIKÓW”? Bez tego niewiele się zmieni.



SKLEPOWY NEWSLETTER PRZEGLĄDU

Zapisz się na
sklep.tygodnikprzeglad.pl

- kody rabatowe
- obniżki sezonowe
- nowości książkowe
- oferty specjalne



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Jak sparaliżować sądownictwo?**
Zły pomysł z sądami pokoju
- 14 Byłem przy egzekucji Kurskiego**
– rozmowa z Robertem Kwiatkowskim
- 18 Ponury zmierzch polskiego węgla**
Wszyscy zapłacimy
- 44 PRZEGŁĄD na Jesiennych Targach Książki**

ZAGRANICA

- 22 Europa kontra Wielka Technologia**
Sądzić, karać, zdelegalizować?
- 26 Głód się nasila, chory system zyskuje**
Dlaczego tylu ludzi nie ma co jeść
- 30 Marsz ku katastrofie**
– rozmowa z Chasem W. Freemanem jr.
- 34 Azja stawia na lotniskowce**
Liderzy i druga liga
- 36 Córką narodu**
Skuteczna Giorgia Meloni

PRZEGŁĄD ZWIĄZKOWY

- 33 Jak walczyć z ubóstwem emerytalnym**
OPZZ chce zapewnić godną emeryturę

HISTORIA

- 40 Lekcja Żeromskiego**
PRL a rok 1920

KULTURA

- 46 Zawsze wracam do teatru**
– rozmowa z Marcinem Hyncarem
- 49 Culturalia**
- 50 Wzrost, wymiary, znaki szczególnie**
Po festiwalu w Gdyni
- 66 Dekoratorium**

ZDROWIE

- 53 Od chorób przyzębia do udaru**
– rozmowa
z dr. n. med. Maciejem Nowakiem

OBSERWACJE

- 55 Jacek Pałkiewicz: Atlantyk solo**

ZWIERZĘTA

- 58 Łoś szuka miłości**
Głosy na bukowisku

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Rolnik karmiony kłamstwami
- 17 Jan Widacki**
Ciemnota i zabobon
- 21 Andrzej Romanowski**
Podróże po Polsce
- 25 Roman Kurkiewicz**
Kredki, ściaga, mielizna, ławeczka
- 39 Tomasz Jastrun**
Miliony agentów Putina
- 43 Wojciech Kuczok**
Spało się świetnie



22
ZAGRANICA

EUROPA KONTRA WIELKA TECHNOLOGIA

Sądzić, karać, zdelegalizować?



46
KULTURA

ZAWSZE WRACAM DO TEATRU

– rozmowa z Marcinem Hyncarem



58
ZWIERZĘTA

ŁOŚ SZUKA MIŁOŚCI

Głosy na bukowisku

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER, PAWEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS,
KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK



✉ Bezkarne rzucanie oskarżeń

Bezkarność w posługiwaniu się słowem „kłamstwo” przybrała rozmiary niepokojące. Kiedyś było to jedno z najcięższych oskarżeń, naruszające poczucie honoru. Dziś Andrzej Duda, bądź co bądź głowa państwa, oskarża „elitę polskiego sądownictwa” o kłamstwa wobec instytucji europejskich – głośno i publicznie. Należałoby uznać taką praktykę za karalną na równi z oszczerstwem, a w odniesieniu do bezkarnego polityka za czyn niegodny i dyskwalifikujący.

Andrzej Lam

f Agentów jak wróbi



Ciekawa jestem, czy Polska ma agentów wywiadu w USA. Co prawda, polski wywiad skompromitował się własnoręcznie i nikt mu nie ufa, ale takiego Wspólnego Sojusznika warto podglądać,

tak jak on kontroluje nas. Dla własnego bezpieczeństwa i aby sprawdzać, na ile jesteśmy przez tego Wielkiego Brata oszukiwani i okradani.

Ewa Wesółowska

A pamięta ktoś aferę z podsłuchiwaniami Angeli Merkel przez USA? Trwała krócej niż przeczytanie artykułu na ten temat. W Polsce jeszcze krócej, nie wiem, czy chociaż pięć minut. Chciałem zwrócić uwagę na przykry fakt, że w Polsce, mimo wolności mediów, podaje się do wiadomości niestawną papkę, jak w jakichś trzeciorzędnych dyktaturach. I to od lat. Wywiad mają Rosjanie, hakerów mają Rosjanie... i, wiadomo, Chińczycy. Wszystko destabilizują, nawet prezydenta wybrali Amerykanom. Przecież to niepoważne. Ja, dorosły człowiek, mam uwierzyć w taką kabaretową opowieść? A gdzie kontrwywiad i wywiad (w Polsce wiadomo gdzie)? Wywiad Rosja ma nawet w sojuszniczych państwach. Byłbym w szoku, gdyby go nie miała. To samo (a może przede wszystkim) dotyczy USA i większości państw, które stać na skuteczne szpiegostwo. Tej polskiej szopki z ustawicznymi oskarżeniami o agenturalność wole nie komentować. Brak słów.

Michał Błaszczak

f Czy powinno się obniżyć próg wyborczy do 3%?



Ordynacja wyborcza wymaga różnych zmian, z których zmiana progu wyborczego jest najmniej istotna. Przede wszystkim należy rozważyć likwidację Senatu. Poza tym zwiększyć okręgi wyborcze, których

wielkość tak naprawdę decyduje o realnym progu wyborczym. Okręgi nie powinny być mniejsze niż 10-mandatowe. Z wielu ordynacji, które funkcjonowały w Polsce, najciekawsza była ta z 1997 r. z listą krajową. Po likwidacji Senatu można by zwiększyć liczbę posłów np. do 500, z tym że 40 mandatów stanowiłaby lista krajowa. W ten sposób zostałaby zwiększona reprezentatywność parlamentu i lepiej odzwierciedlałby proporcjonalny rozkład opinii wyborców.

Adam Jaśków

f Na co choruje demokracja?

Prof. Janusz Reykowski nie zauważył, że jest jeszcze inna opcja – NISZCZENIE konkurencji przez PODKUPYWANIE jej czołowych działaczy i podbieranie niektórych haseł... Akurat w III RP najbardziej efektywna wyborczo.



Włodzimierz Zieliński

ZDJĘCIA TYGODNIA



Po bezwzględnym stłumieniu gwałtownych protestów wywołanych śmiercią 22-letniej Mashy Amini (zdjęcie na dole) irańskie władze zorganizowały kontrdemonstrację zwolenniczek hidżabów.



Według wstępnych wyników Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 r. ludność Polski to **38 milionów 36 tysięcy 118 osób**. Co oznacza spadek o 1,2% w stosunku do spisu z 2011 r.

Prezydent Duda nie zawiódł swojego obozu politycznego i neosędziów. Tak obsadził Izbę Odpowiedzialności Zawodowej, która zastępuje skompromitowaną Izbę Dyscyplinarną, że zostały wszystkie stare problemy. Nie pomogły trzy wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, że sądy z udziałem neosędziów „nie mają atrybutów sądu i nie zapewniają rzetelnego procesu”. Stojący w rozroku Duda pogłębia problemy sądownictwa.

Krystian Markiewicz, prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, jako jedna z trzech osób na świecie otrzymał nagrodę od **Międzynarodowego Stowarzyszenia Sędziów**. Sędziowie z 71 krajów przyznali mu ją w uznaniu zasług dla obrony wartości demokratycznych.

Wynagrodzenie minimalne od 1 stycznia 2023 r. będzie wynosić 3490 zł, a od lipca 2023 r. – 3600 zł. Minimalna stawka godzinowa to 22,80 zł i 23,50 zł.

Minister zdrowia **Adam Niedozielski** przerwał marnowanie przeterminowanych szczepionek i zmienił zasady szczepień przeciw COVID-19 czwartą dawką. Teraz szczepienia są dostępne dla wszystkich powyżej 12. roku życia.

Przez dziurę w płocie mieszkańcy Elbląga mogli oglądać otwarcie przekopu przez Mierzę Wiślaną i późniejszy koncert. Bliżej dopuszczeni zostali tylko ludzie z klubów „Gazety Polskiej”. Na szczelnie zamkniętej imprezie przemawiali oficjele z PiS i brylował ukarany przez Watykan abp Głódź.

Z 3100 księgarni, które funkcjonowały w 2010 r., prawie **850 zakończyło działalność**. Nie dość, że rynek skurczył się o 27%, to jeszcze połowa sprzedawców książek ma kłopoty finansowe.

Bardzo spadła wartość aktywów zgromadzonych na rachunkach członków OFE. **Z 188 mld zł** na koniec 2021 r. do **152,5 mld zł** w lipcu br. Ubywa też członków otwartych funduszy emerytalnych. W tym roku o 200 tys., do 14,995 mln.

Paulina Bownik, lekarka z Grupy Granica, otrzymała Nagrodę „**Okulary ks. Kaczkowskiego**. Nie widzę przeszkód” za pomoc uchodźcom na granicy białoruskiej.

Tylko USA przekazują Ukrainie więcej broni niż Polska. Według obliczeń Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii jej wartość przekroczyła już 7 mld zł.

Łamanie prawa przez ludzi związanych z PiS jest coraz bezczelniejsze. Kolejny przykład to 200-metrowy kanał od jeziora Szymon do posiadłości spółki, której prezesem jest mąż Marty Kaczyńskiej. Wybudowany bez jakiegokolwiek zgody, zniszczył część jeziora.

Varso Tower, wieżowiec w centrum Warszawy, jest najwyższym budynkiem w Unii Europejskiej. Do czubka iglicy mierzy 310 m. Taras widokowy jest na wysokości 230 m, czyli wyżej niż PKiN.

Komisja Europejska nałożyła na **Google’a** rekordową karę **4,1 mld euro** za nadużywanie dominującej pozycji na rynku.

Ponad tysiąc aglomeracji w Polsce nie spełnia unijnych wymogów dotyczących oczyszczania ścieków komunalnych.

PRZEBŁYSKI

SDP wpuściło Dudę w maliny

W piśmie do uczestników uroczystości wręczenia odznaczeń państwowych członkom Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich prezydent Duda przekazał wyrazy uznania dla pracy i dokonań Rady Etyki Mediów. No i pięknie. A byłoby nawet przepięknie, gdyby nie konieczność sprostowania.

Ryszard Bańkowicz, przewodniczący Rady Etyki Mediów, powiadomił pana prezydenta, że od 2015 r. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie uczestniczy w Radzie Etyki Mediów, a w swoich oświadczeniach wielokrotnie odcinało się od jej działalności, tak wysoko przez prezydenta ocenianej.

Oj, ktoś z kancelarii wpuścił Dudę w maliny. A może te odznaczenia miały trafić do członków Stowarzyszenia Dziennikarzy RP?



Fundujemy muzeum w Waszyngtonie

Węgla brak, ale jest Polska Fundacja Narodowa, kopalnia nowego typu. Kopalnia memów. Po wystęпах Marcina Zarzeckiego, prezesa tej fundacji, w reklamówce propagandowej („Sieci”) jest ciąg dalszy. Sesję zdjęciową zafundował sobie (też „Sieci”) Michał Góras, wiceprezes. Na bogato. Cztery strony i cztery zdjęcia. I to z Waszyngtonu. Bo Góras pochwalił się tym, że „muzeum ofiar komunizmu powstało przy ZNACZNYM WSPARCIU FINANSOWYM Polskiej Fundacji Narodowej”. Prawda, że trudno uwierzyć? Bogata Polska wspiera biedną Amerykę. Także sporą delegacją. Bo do Waszyngtonu polecili wicepremier Głiński, prezes PFN Zarzecki, wiceprezes Góras, dyrektor Kostro i wielu innych. Może szykują sobie azyl?

Dzieci szukają Mikołaja (Pawlaka)

Minęły trzy lata od jednej z najgorszych decyzji kadrowych dojrzałej zmiany. W ramach szemranych porozumień na rzecznika praw dziecka wysłano Mikołaja Pawlaka, dyrektora ds. poprawczaków i schronisk dla nieletnich w ministerstwie Ziobry. Dar prawicy dla dzieci i młodzieży do tego nie ma głowy. A że poprawczaki za jego rządów są już pełne, nie ma gdzie upchnąć podpadniętych. Do kościoła dzieciarnia też nie chodzi. W przeciwieństwie do Pawlaka, który nawet wśród dewotek uchodzi za prymusa. Dzień pracy ma wypełniony udziałem w niezliczonych ceremoniach kościelnych. Podobno w ten sposób odrabia pokutę za unieważnianie małżeństw kościelnych. W czym był o wiele lepszy niż teraz, gdy robi dla dzieci.



Kosztowny wrzutek

Miał być wunderwaffe PiS w walce o wyborców Konfederacji. Tymczasem Adam Andruszkiewicz to postać z komiksu, a nie polityki. I czyjaś kosztowna zachcianka. Dojna zmiana dała mu więcej niż wiarusom prezesa z zakonu PC. A co dostała w zamian? Andruszkiewicz jako minister szybko urządził rodzinę i parunastu kumpli. W Grajewie szpanuje wpływami. Premier Morawiecki musi znosić tego wrzutek jako sekretarza stanu w swojej kancelarii.

Andruszkiewicz jest z siebie bardzo zadowolony: „Nie zamienię tego sposobu sprawowania władzy na kupczenie polską suwerennością w gabinetach brukselskich”. Na gabinet w Brukseli pewno nie. Ale może na ojczystą celę?



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego politycy oskarżają się wzajemnie o agenturalność?

DR HAB. EWA MARCINIAK,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Ponieważ debata polityczna się zaostrza, dyskredytacje przestają mieć charakter merytoryczny, w rodzaju „nie zna się na gospodarce, nie zna się na energetyce, nie zna się na sytuacji międzynarodowej”. Zamiast tego odświeża się stereotypy nacechowane szczególnie pejoratywnymi skojarzeniami, w nadziei, że będzie to skutkowało negatywnymi opiniami o danej osobie. Między innymi ze względów historycznych najgorsza rzecz, jaką można powiedzieć o polityku, to zdefiniować go jako agenta, czyli zdrajcę, esbeka, ubeka itd. Nic dziwnego, że Platforma Obywatelska zarzuca agenturalność politykom Prawa i Sprawiedliwości, a oni z kolei oskarżają o nią głównie Donalda Tuska.

ANDRZEJ ROZENEK,
Posel, Polska Partia Socjalistyczna

Agenturalności jako pałki politycznej szczególnie chętnie używa Prawo

i Sprawiedliwość. Wynika to wprost z jego starych metod działania, polegających na przekształcaniu znaczeń różnych słów oraz na odwracaniu uwagi od niewygodnych tematów. To Kaczyński powiedział kiedyś, że „żadne krzyki i płacze” nie przekonają jego formacji, że „białe jest białe, a czarne jest czarne”, i konsekwentnie tego się trzyma. Dlatego gdy politycy PiS słyszą uzasadnione tezy gen. Pytla, że wszystko wskazuje na to, że rząd działa na korzyść Putina, w odwecie mówią o każdym, kto to powtarza, że jest rosyjskim agentem – tak jak każdy złodziej złapany na gorącym uczynku krzyczy: „Łapać złodzieja!”.

PIOTR NIEMCZYK,
były wicedyrektor Zarządu Wywiadu UOP

Wydaje im się, że w ten sposób wyjątkowo skutecznie dyskredytują przeciwników w oczach opinii publicznej. Co więcej, strasznie trudno się bronić przed takimi zarzutami, bo na pytanie o dowody zawsze można usłyszeć, że to czy inne

działanie świadczy o tym, że reprezentuje się rosyjskie, niemieckie czy żydowskie interesy. Powszechność takich oskarżeń dziwi nas tylko dlatego, że mamy krótką pamięć: sugerowanie powiązań z obcymi siłami jest w polskiej polityce używane, odkąd pamiętam, czyli co najmniej od lat 70. To narzędzie nie jest więc wcale nowe, nie jest też wbrew pozorom argumentem ostatecznym. Ludzie zdążyli zapomnieć, że wszystkie poprzednie fale oskarżeń o agenturalność kończyły się niczym, poza niewyjaśnioną do końca sprawą Józefa Oleksego, która miała poważne konsekwencje.

TERESA KOMOROWSKA,
czytelniczka PRZEGŁĄDU

Oskarżenia o agenturalność (przede wszystkim ruską, rosyjską, radziecką) są najlepiej sprzedającym się towarem. Nie trzeba ani jednego dowodu na nią, wystarczy, że przez ostatnie 30 lat wypracowano w narodzie świetny odruch Pawłowa – rusofobię.

Jak sparaliżować sądownictwo?

Sądy pokoju to prosta droga do tego, by było gorzej, drożej, wolniej i pod dyktando władzy

Andrzej Dryszel

W Sejmie leżą projekty ustaw mających wprowadzić w Polsce sądy pokoju. Jeśli te sądy powstaną, wymiar sprawiedliwości w naszym kraju stanie się znacznie bardziej niż dziś zależny od rządzących i upolityczniony. Jednocześnie nie zniknie żadna z wad polskiego sądownictwa. Przeciwnie, zaczniesz ono funkcjonować coraz wolniej i gorzej. Skutki okażą się więc dokładnie odwrotne od obiecywanych. Czy tego chcą prezydent Andrzej Duda i Paweł Kukiz, forsujący pomysł sądów pokoju?

karnymi i cywilnymi, by odciążyć sądy rejonowe i przyspieszyć bieg postępowań. Ale żadne przyspieszenie nie nastąpi. Wyjęcie dużej części spraw z właściwości sądów rejonowych i przekazanie ich do sądów pokoju, gdzie nie będzie wykwalifikowanych sędziów, przyniesie wyłącznie złe skutki.

Amatorzy w togach

Sędziowie pokoju nie będą musieli spełnić takich wymogów jak kandydaci na sędziów pozostałych sądów (aplikacja potwierdzona egzaminem albo trzyletnie wykonywanie

Tak niskie wymogi oznaczają, że sędzia pokoju, samodzielnie przecież orzekający i wymierzający sprawiedliwość, będzie miał gorsze kwalifikacje niż przedstawiciele wszystkich innych zawodów prawniczych uczestniczący w rozprawach. Zagroza to prawidłowości wyroków wydawanych przez sądy pokoju oraz narusza konstytucję.

„Projekt zakłada w gruncie rzeczy obsadzenie sądu powszechnego wyłącznie składem niezawodowym (sędzią pokoju). Poza dyskusją jest to, że obraz sędziego pokoju rysujący się w świetle opiniowanego projektu nie pokrywa się z konstytucyjną wizją sędziego”, podkreślił Sąd Najwyższy, kontrolowany wszak przez obóz władzy, a więc zwykle życzliwie oceniający pomysły ekipy rządzącej. Zdaniem eksperta, mec. Radosława Płonki, „w świetle obowiązujących przepisów osoba taka nawet nie ma uprawnień, by stawać przed sądem w imieniu podsądnego, a co dopiero mówić o wydawaniu orzeczeń”.

Sądowy korek

Kiepska jakość wyroków ferowanych przez niedouczone pseudo-sędziów zaowocuje falą apelacji do sądów wyższej instancji. Wielu z tych, którzy zostaną skazani przez sędziów pokoju, będzie przecież wołało, aby ich sprawę rozpoznał prawdziwy sędzia po aplikacji i egzaminie sędziowskim. Sądy zatem się zatkają, a czas postępowania nie skróci się, lecz stanie się jeszcze dłuższy. Trzeba więc zapomnieć, że sędziowie pokoju to recepta na jakiegokolwiek przyspieszenie biegu spraw w sądach.

Wymiar sprawiedliwości stanie się znacznie bardziej niż dziś zależny od rządzących i upolityczniony.

Do sejmowych prac legislacyjnych trafił projekt prezydencki, poparty przez największe grono posłów – a także projekty Lewicy i PSL, złożone po to, by pokazać części swojego elektoratu, że oba te ugrupowania też są za sądami pokoju. Niestusznie! Powinny raczej pokazać, że nie chcą mieć z nimi nic wspólnego. Sądy pokoju są bowiem projektem z gruntu błędnym i nieracjonalnym, więc jeśli zostaną wprowadzone, lepiej, by odpowiedzialność za to spadła na parlamentarzystów prawnicy i na ich ustawę, firmowaną przez prezydenta.

Sądy pokoju, dzięki temu, że orzekające w nich osoby będą wybierane w wyborach powszechnych, mają pośrednio włączać obywateli w wymierzanie sprawiedliwości. Sądy te zajmą się drobniejszymi sprawami

zawodu adwokata, radcy prawnego lub notariusza bądź habilitacja z prawa połączona z pracą w placówce naukowej). Kwalifikacje sędziego pokoju to jedynie tytuł magistra prawa i trzy lata „wykonywania czynności wymagających wiedzy prawniczej, bezpośrednio związanych ze świadczeniem pomocy prawnej, stosowaniem lub tworzeniem prawa” (jak stanowi projekt prezydencki).

Mowa tu o „wykonywaniu czynności”, nie o pracy zawodowej. Sędzią pokoju będzie więc mógł zostać ktoś, kto wprowadzie jest magistrzem prawa, ale np. po godzinach społecznie udziela znajomym porad prawnych, a zawodowo zajmuje się czymś zupełnie innym. Jego umiejętności nie będą zaś sprawdzane żadnym egzaminem!



4 listopada 2021 r. prezydent Andrzej Duda skierował do Sejmu projekt Ustawy o sądach pokoju, forsowany przez Pawła Kukiza.

„Rozpoznawanie apelacji od orzeczeń sądów pokoju w niektórych sądach mających mało etatów poważnie zdezorganizuje ich funkcjonowanie i doprowadzi do ich niewydolności”, wskazało Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia w opinii na temat prezydenckiego projektu sądów pokoju.

Przepisy prezydenckie zostały w rzeczywistości stworzone przez zespół prawników pod kierownictwem prof. dr. hab. Piotra Kruszyńskiego, naukowca i adwokata. Autorzy oczywiście zdawali sobie sprawę, że wprowadzenie w Polsce sądów pokoju oznacza oddanie ważnego, podstawowego elementu wymiaru sprawiedliwości (bo w sądach przeważają właśnie drobniejsze sprawy) w ręce ludzi bez odpowiednich kwalifikacji. Zapisali więc w projekcie, że w sprawach przed sądami pokoju nie można zasięgać opinii biegłych. Prawdopodobnie chodziło im o to, że niedouczony sędzia pokoju może po prostu nie zrozumieć treści ekspertyzy biegłego.

Co więcej, autorzy projektu prezydenckiego też wzięli pod uwagę, że potężna fala odwołań od wyroków sądów pokoju może sparaliżować pracę „prawdziwych” sądów, czyli rejonowych, mających rozpoznawać te apelacje. Napisali zatem, że termin wniesienia apelacji

Nie zniknie żadna z wad polskiego sądownictwa. Skutki okażą się dokładnie odwrotne od obiecywanych.

od wyroku sądu pokoju wynosi nie dwa tygodnie (co jest standardem w polskim sądownictwie), ale tylko tydzień – zapewne z nadzieją, że część podsądnych w tym krótszym czasie nie zdąży się odwołać (co nie jest takie proste) i do sądów rejonowych trafi mniej apelacji. Tyle że takie skrócenie o połowę terminu wniesienia apelacji jest oczywistą dolegliwością dla obywateli, utrudniającą korzystanie z konstytucyjnego prawa do sądu.

Będzie dłużej i gorzej

Nie tylko jednak apelacje, będące efektem wyroków wydawanych przez niedouczone, orzekających jednoosobowo sędziów pokoju, wydłużą czas postępowań. Wydłuży się on także ze względu na samą istotę przepisów o tych sądach.

Sądy pokoju mają się zajmować wykroczeniami (drobniejszymi naruszeniami prawa, za które grozi do miesiąca aresztu lub ograniczenia wolności) oraz występkami mniejszego kalibru, w których wartość przedmiotu przestępstwa lub wyrządzona szkoda nie przekroczy 10 tys. zł (m.in. kradzież z włamaniem, zabór lub zniszczenie rzeczy, oszustwo, wyrąb drzew w celu kradzieży, paserstwo).

Do właściwości sądów pokoju należałyby też takie przestępstwa jak prowadzenie auta „pod wpływem” czy przez osobę niemającą uprawnień, wdarcie się do cudzego domu, rozpijanie małoletniego, niepłacenie alimentów, zniewaga z powodów rasowych bądź wyznaniowych, korzystanie z cudzych dokumentów tożsamości.

Maksymalna kara, jaką miałby prawo wymierzyć sąd pokoju, to 10 tys. zł grzywny, trzy miesiące więzienia albo pół roku ograniczenia wolności. Problem w tym, że za wymienione tu przestępstwa grozi do roku, dwóch, trzech, a nawet pięciu lat (jeśli to recydywa), czyli sporo więcej.

Sędzia pokoju – mający wszak znacznie niższe kwalifikacje niż „prawdziwy” sędzia – musiałby ocenić, czy okoliczności sprawy uzasadniają wymierzenie kary do 10 tys. zł, trzech miesięcy więzienia albo pół roku ograniczenia wolności, czy może wyższej. Jeśli zaś okaże się, że sprawcy grozi surowszy wyrok, sędzia pokoju będzie musiał zakończyć swoje czynności i przekazać sprawę do sądu rejonowego. To samo nastąpi, gdy dowody, z których zechce ▶

► skorzystać sędzia pokoju, okazać się tajne albo poufne. Takie rozpatrywanie sprawy w pierwszej instancji przez dwa sądy (pokoju i rejonowy) będzie oczywistym marnowaniem czasu i pracy sędziów, prowadzącym jedynie do wydłużenia biegu postępowań.

Gdy w trakcie postępowania okaże się, że wartość przedmiotu postępowania czy wyrządzonej szkody przekracza 10 tys. zł, sąd pokoju będzie mógł dalej rozpatrywać sprawę. Jeśli jednak choć o złotówkę przewyższy 15 tys. zł, sprawę obowiązkowo przejmie sąd rejonowy. Ale sąd rejonowy może odmówić, gdy uzna, że wartość mienia lub szkody jednak nie przekroczyła 15 tys. zł. Wtedy sprawa będzie musiała wrócić z sądu rejonowego do sądu pokoju.

Cały ten galimatias z przekazywaniem spraw doprowadzi do rosnących opóźnień. Wmontowanie sądów pokoju w polski wymiar sprawiedliwości spowoduje zatem, że sprawy będą się toczyć wolniej niż dziś mimo większego wkładu pracy sędziów.

Ten sam niekorzystny efekt nastąpi, gdy sądy pokoju przejmą od sądów rejonowych sprawy o alimenty oraz część spraw rozpoznawanych w postępowaniu uproszczonym (są to sprawy, w których wartość sporu nie przekracza 20 tys. zł, np. o zapłatę za wykonaną usługę czy roszczenia z tytułu gwarancji albo rękojmi).

Autorzy projektu prezydenckiego stwierdzają w uzasadnieniu, że w sprawach o alimenty „bardziej niż sama wiedza prawnicza pożądane jest dysponowanie przez orzecznika niezbędnym doświadczeniem życiowym i umiejętnością rachowania. (...) Nie są to sprawy w żadnym razie skomplikowane, tak pod względem prawnym, jak i faktycznym”.

Akurat! Jest dokładnie odwrotnie! Sprawy o alimenty są tak skomplikowane, że nie mają prawa ich rozstrzygać asesory, czyli prawnicy, którzy ukończyli aplikację, zdali egzamin sędziowski, pełnią funkcję sędziego, orzekając jednoosobowo w wielu rodzajach spraw – i tylko jeszcze czekają na oficjalne powołanie na stanowisko sędziego przez prezydenta. Oni w sprawach o alimenty nie mogą

orzekać, ale mający nieporównanie gorsze kwalifikacje sędziowie pokoju będą mogli! To prosta droga do błędnych wyroków, apelacji, wydłużenia postępowań, niezadowolonych stron, spadku zaufania do wymiaru sprawiedliwości. Zdumiewa, że prof. dr hab. Piotr Kruszyński zaakceptował taki zapis w projekcie.

Natomiast sprawy w postępowaniu uproszczonym, choć rozpoznawane w nieco prostszym trybie, bywają bardzo trudne. To również nie jest materia dla słabo przygotowanych sędziów pokoju. Stowarzyszenie *Iustitia* wskazuje: „W tej kategorii mieszczą się niejednokrotnie skomplikowane pod względem faktycznym i prawnym sprawy” – i negatywnie ocenia to, że miałyby one przejść do właściwości sądów pokoju.

Twórcy projektu prezydenckiego zdają sobie sprawę, że sędziowie pokoju, nie mając odpowiednich kwalifikacji, będą mieć duże kłopoty

tego 7866 etatów administracyjnych oraz 1311 asystentów. W sumie 13 110, niemała dywizja.

Uzasadnienie projektu stwierdza: „Sumując wydatki na organizację i funkcjonowanie sądów pokójów w okresie dziesięcioletnim, szacunkowe wydatki w okresie 10 lat dla budżetu państwa będą wynosić 8 678 377 mln zł. W analogicznym okresie dochody budżetu państwa z tytułu podatków i składek z zabezpieczenia społecznego powinny wynosić 3 207 760 mln zł”.

Te słowa oznaczają, że wydatki na sądy pokoju będą 2,7 razy wyższe od wszystkich wpływów budżetu państwa i zamkną się kwotą ponad 8,5 bln zł! Autorzy projektu oczywiście pomylili się o parę zer, ale to tylko pokazuje, z jaką starannością wykonywali swoją pracę, co dotyczy zarówno zespołu prof. Kruszyńskiego, jak i prezydenta Dudy, który chyba w ogóle nie czytał uzasadnienia firmowanego przez siebie projektu.

Lewica i PSL też są za sądami pokoju. Niestuszenie! Powinny raczej pokazać, że nie chcą mieć z nimi nic wspólnego.

z prawidłowym rozstrzygnięciem spraw, którymi przyjdzie im się zajmować. Dlatego stworzyli furtkę w przepisach – jeśli sędzia pokoju uzna, że sprawa, z którą się mierzy, jest dla niego zbyt zawiła, może przekazać ją wyżej, do sądu rejonowego. Wszystko wskazuje na to, że sędziowie pokoju mogą często korzystać z tego wyjścia awaryjnego. Należy zatem powtórzyć: przekazywanie spraw do innych sądów spowoduje, że trzeba będzie czekać znacznie dłużej na rozstrzygnięcie.

Sądy pokoju walnie się przyczynią do coraz gorszego i coraz wolniejszego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości w Polsce. W dodatku będziemy musieli za to słono zapłacić.

Finansowy worek bez dna

Jeden sędzia pokoju ma przypadać na 10 tys. mieszkańców. Autorzy projektu prezydenckiego precyzyjnie policzyli, że potrzeba ich 3933. Do

Nawet jeśli 10-letni koszt sądów pokoju miałby wynieść nie 8 bln, ale 8 mld, jest to olbrzymia suma. I za te pieniądze będzie wyłącznie gorzej!

Autorzy projektu prezydenckiego dodają: „W rzeczywistości około dwóch trzecich wskazanej kwoty będzie stanowiła kwota zaoszczędzona w następstwie zmniejszenia kosztów zadań wymiaru sprawiedliwości – działalności orzecniczej i administracyjnej sądów powszechnych w następstwie przeniesienia zadań do sądów pokoju”. To rozbijający, dziecinny optymizm, pozbawiony próby jakiegokolwiek kalkulacji i niemający nic wspólnego z rzeczywistością. Stowarzyszenie *Iustitia* słusznie podkreśla, że jest to „zupełnie niezrozumiałe i niczym nieoparte twierdzenie”.

Zabawne, że mimo przeświadczenia o odzyskaniu dwóch trzecich kwoty wydanej na sądy pokoju projektodawcy nawet nie umieją ocenić, ile może kosztować zaspokojenie potrzeb lokalowych tych sądów.



W uzasadnieniu oświadczają: „Dodatkowe koszty będą wiązały się z udzieleniem dotacji na finansowanie zadania polegającego na zapewnieniu budynków lub lokali, w których sądy pokoju rozpoznają sprawy lub pełnią czynności (...). W chwili obecnej nie jest możliwe wskazanie dokładnych kosztów realizacji ww. zadania”.

Ta niefrasobliwość finansowa zaniepokoiła samorządy, bo to one będą musiały znaleźć i opłacać lokale dla sądów pokoju. „Przepisy powinny jasno przewidywać środki w wysokości adekwatnej do nakładanych zadań”, stwierdził Związek Powiatów Polskich. I wskazał, że skoro nie przewidują, to naruszono art. 167 konstytucji (mówiący, że zmiany zakresu zadań jednostek samorządu terytorialnego następują wraz z odpowiednimi zmianami w podziale dochodów publicznych) i złamano regulamin Sejmu, nakazujący przedłożenie wraz z projektem aktu prawnego przewidywanych skutków finansowych i wskazanie źródła finansowania. Fakt, nie wiadomo, skąd wziąć te miliardy na sądy pokoju.

Wyroki na życzenie

Projekt prezydencki zadbał natomiast o to, by sędziowie pokoju

byli skłonni do wydawania wyroków zgodnych z oczekiwaniami władzy. Prezesami sądów pokoju będą prezesi sądów rejonowych. Minister Zbigniew Ziobro zaś dokonał wcześniej masowej wymiany prezesów sądów – na ludzi dobrze widzianych przez obecną ekipę i rozumiejących jej oczekiwania.

Prezes sądu rejonowego stanie się zwierzchnikiem służbowym sędziów pokoju, oceni ich pracę (jak mówi przepis, „dokona analizy orzecznictwa w kierowanym sądzie pod względem poziomu jego jednolitości”), a także zyska wpływ na to, jacy sędziowie pokoju będą dostawać określone sprawy.

Sądy pokoju są projektem z gruntu błędnym i nieracjonalnym.

Wedle projektu rozporządzenia w sprawie przydziału spraw sędziom pokoju „określony rodzaj spraw cywilnych i karnych może być przydzielony tylko niektórym sędziom pokoju”. Analogiczny przepis funkcjonuje i w odniesieniu do pozostałych sądów, ale jest ważna różnica. W sądach pokoju sprawy mają być wprawdzie losowane, tak jak w innych sądach, jednak projekt wspomnianego rozporządzenia stwierdza: „Sprawy sędziom pokoju przydziela prezes sądu pokoju” (czyli

Pod pretekstem pandemii w 2021 r. usunięto ławników z sądów cywilnych.

prezes sądu rejonowego). Tak więc los losem, a zdecyduje prezes. Tej kompetencji prezesa nie ma w przepisach o funkcjonowaniu innych sądów, wprowadzono ją specjalnie dla sądów pokoju.

Prezesi sądów rejonowych będą zatem mogli zadbać, by określoną sprawę rozstrzygał ten, a nie inny sędzia pokoju, co z kolei może zwiększać szanse, że zapadnie taki wyrok, na jakim zależy władzy. Pas transmisyjny od władzy do sędziów pokoju, funkcjonujący za pośrednictwem prezesów sądów rejonowych, został wytyczony całkiem jasno.

Można spytać, dlaczego rządzącym miałoby zależeć, by w jakiejś drobnej sprawie został wydany taki, a nie inny wyrok. Przykład osób, które nęcano zarzutami popełnienia wykroczeń za udział w różnych antyrządowych protestach, pokazuje, że bardzo może im zależeć (a sądy pokoju mają się zajmować m.in. wykroczeniami).

Sędzia ma być posłuszny

Wpływ władzy na orzeczenia sędziów pokoju będzie ułatwiony z powodu ich braku niezależności. Ów brak niezależności i mogąca się pojawić podatność na oczekiwania rządzących wynikają wprost z projektu prezydenckiego. Stanowi on, że aby zgłosić kandydata na sędziego pokoju, minimum 15 obywateli

z czynnym prawem wyborczym ma utworzyć komitet wyborczy i zebrać co najmniej 100 podpisów. Naturalnie łatwiej tego dokona partia z silnymi strukturami, która przeprowadzi też skuteczną kampanię wyborczą – wypisz wymaluj PiS.

Kandydat na sędziego pokoju formalnie nie może być partyjny (musi zrezygnować z członkostwa w partii lub związku zawodowym), ale z pewnością będzie się liczyć z oczekiwaniami co do jego sposobu orzekania, zgłaszanymi przez grono ▶

► zwolenników. Tym bardziej że po zakończeniu sześciolletniej kadencji (drugiej już nie ma) wróci przecież do środowiska, które go wybrało, i zacznie szukać pracy. Słusznie więc prof. Andrzej Zoll uważa, że jeśli sędziowie pokoju będą wybierani w wyborach powszechnych, staną się instytucją polityczną.

Ciekawe, że sędzią pokoju może zostać prokurator w stanie spoczynku, ale „normalny” sędzia w stanie spoczynku już nie. Zapewne dlatego, że prokuratorowi nie przysługuje niezawisłość sędziowska. Władza może łatwiej wywierać na niego wpływ, choćby był w stanie spoczynku.

Nawet życzliwy dla obecnej ekipy Sąd Najwyższy przestrzega: „Wyłonienie kandydatów na urząd sędziego pokoju spośród mieszkańców społeczności lokalnych może narażać sędziów na pewne zagrożenia z punktu widzenia tzw. wewnętrznej niezawisłości sędziowskiej. Powiązanie z daną społecznością lokalną czynić może sędziów pokoju bardziej podatnymi na panujące trendy lub nastroje w tej społeczności, co z kolei rzutować by mogło na ich decyzje orzecznicze”.

Natomiast zdaniem prof. Joanny Kielin-Maziarz apolityczność sędziów pokoju może budzić wątpliwości, ze względu na sposób ich nominacji i finansowania ewentualnej kampanii wyborczej.

Ich upolitycznienie będzie jeszcze większe, bo wybory sędziów pokoju to tylko pseudodemokratyczny sztafaż na użytek publiczności.

O tym, kto zostanie sędzią pokoju, w rzeczywistości będzie decydować Krajowa Rada Sądownictwa, zdominowana przez PiS i stanowiąca zaprzeczenie apolityczności (wykluczono ją z Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa).

To KRS ma najpierw wpisywać kandydatów na prowadzoną przez siebie Listę Kandydatów na Sędziów Pokoju i może odmówić im wpisu wedle swojego uznania (np. pod pretekstem, że nie są nieskazitelne-go charakteru, co, jak wiadomo, niełatwo ocenić). Gdy zaś zostaną wybrani, to KRS będzie rozpatrywać ich

wszelkich nacisków niż jakikolwiek inny sędzia w Polsce.

Autorzy projektu prezydenckiego zachwalają, że sądy pokoju to „czynnik społeczny w wymiarze sprawiedliwości”, który „urzeczywistnia kontrolę społeczną”. W rzeczywistości ta kontrola społeczna będzie żadna. Nie przybierze nawet formy niewybrania sędziego pokoju ponownie, skoro ma on tylko jedną kadencję.

Inna sprawa, że możliwość ponownego wyboru byłaby jeszcze gorsza, gdyż opinie wyborców miałyby coraz większy wpływ na wyroki wydawane przez sędziów pokoju.

Sędziowie pokoju nie będą musieli spełnić takich wymogów jak kandydaci na sędziów pozostałych sądów.

kandydatury i albo złoży wniosek, by prezydent powołał ich na stanowisko sędziów pokoju, albo odmówi złożenia takiego wniosku.

Stowarzyszenie Iustitia wskazuje: „Udział KRS w jej obecnym kształcie nie zapewnia należytych gwarancji niezależności od władzy ustawodawczej i wykonawczej. Władze polityczne wywierające nadmierny wpływ na procedurę mianowania sędziów mogą bezpośrednio lub pośrednio ingerować w to, kto zostanie powołany na stanowisko sędziego. To zaś odmawia przymiotu niezawisłości sędziów pokoju od czynników zewnętrznych”.

W dodatku, by decyzja prezydenta powołująca sędziego pokoju stała się ważna, w myśl konstytucji powinna użyć podpisu premiera (jego kontrasygnatę). Konstytucja wprawdzie nie wymaga kontrasygnaty premiera przy powoływaniu prawdziwych sędziów, ale nie sędziów pokoju.

Sito będzie zatem szczelne i zagwarantuje to, że sędziami pokoju zostaną osoby dobrze widziane przez obóz rządzący. Nie łudźmy się więc, rzekomo demokratycznie wybierany sędzia pokoju okaże się bardziej uzależniony od

Ten mechanizm dobrze poznano w USA, kraju, na który powołują się polscy zwolennicy wyborów powszechnych sędziów.

„Badania przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych wskazują, że osoba kandydująca na urząd sędziego pokoju, która już tę funkcję sprawuje, ma tendencję do wydawania nadmiernie surowych wyroków, zwłaszcza za ciężkie przestępstwa, gdyż są to orzeczenia, które są medialne i tym samym szybko trafiają do potencjalnego wyborcy. (...) Drugim zarzutem sformułowanym w przytaczanych badaniach jest to, że sędziowie wybrani w głosowaniu powszechnym mogą zdecydować na korzyść tych, którzy pomogli im wygrać wybory”, zwraca uwagę prof. Ewa Tuora-Schwierskott.

Natomiast co do wspomnianego „czynnika społecznego w wymiarze sprawiedliwości”, to władza właśnie go skutecznie eliminuje. Pod pretekstem pandemii w 2021 r. usunięto bowiem ławników z sądów cywilnych.

Ławnicy orzekali w polskich sądach od prawie 70 lat. Nie muszą mieć wykształcenia prawnego, wybiera ich rada gminy z kandydatów zgłaszanych przez różne organizacje i obywateli. Gdy ich usunięto, padły zarzuty naruszenia konstytucji (m.in. ze strony rzecznika praw obywatelskich), ale resort sprawiedliwości

Odszedł

Redaktor Łukasz Jedlewski

Piękna postać dziennikarstwa sportowego, któremu poświęcił 67 lat życia.
Był sekretarzem redakcji „Sportowca” i wieloletnim szefem „Przeglądu Sportowego”.
Prezesował Klubowi Dziennikarzy Sportowych.
Mądry, niezwykle uczciwy i prawy człowiek.
Kochał ludzi i koszykówkę.

**Bliskim Łukasza
serdecznie współczujemy**

Jerzy Domański

uciął sprawę, ogłaszając, że wszystko odbyło się legalnie. Czynniki społeczny w sprawach cywilnych jak najbardziej mogą też stanowić sądy polubowne, ale nie słychać, by rządzący byli ich zwolennikami.

Demolowanie sądownictwa

Sądy pokoju w Polsce, odziedziczone po państwach zaborczych, istniały przez kilka lat po I wojnie światowej (zanim uznano, że liczba zawodowych sędziów jest już wystarczająca). We Francji zlikwidowano je w 2017 r., oceniając, że zawiodły pod każdym względem. Dziś działają w niektórych krajach Europy, np. we Włoszech, Belgii, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Rosji, Hiszpanii i na Malcie. Nigdzie tam nie ma powszechnych wyborów sędziów pokoju, jakie chce się wprowadzić u nas. Takie wybory są zaś w kilku kantonach Szwajcarii i jest to oceniane krytycznie. „Przeważa pogląd, że to przeżytek, instytucja, która nie odpowiada już wymogom współczesności.

Wybory sędziów pokoju są kosztowne, a korzyści dla społeczeństwa trudno zauważalne”, podkreśla prof. Tuora-Schwierskott.

W istocie sądy pokoju zaczęto tworzyć paręset lat temu, gdy potrzebny był wymiar sprawiedliwości i za mało było wykwalifikowanych sędziów. Dzisiaj zawodowych sędziów nie brakuje, a każde państwo może ich wykształcić tylu, ilu mu potrzeba. Także Polska, gdzie w wyniku działań obecnej ekipy wymierzonych w sędziów w 2021 r. nieobsadzonych było prawie 700 stanowisk sędziowskich. Likwidacja tych wakatów dobrze wpłynęłaby na sprawność wymiaru sprawiedliwości – w przeciwieństwie do utworzenia sądów pokoju.

Kadrę sędziowską można również uzupełniać asesorami, którzy orzekają w większości spraw jak sędziowie, ale czekają na nominację prezydenta. Jest też ok. 2,7 tys. referendarzy – prawników po aplikacjach i z wieloletnią praktyką, wykonujących czynności w rozmaitych sprawach (z wyjątkiem wydawania

wyroków). Referendarzy potrzeba znacznie więcej, a zachętą do tej pracy byłoby uregulowanie ich drogi do stanowiska sędziego. Liczą na to także asystenci sędziów.

Władza zrobiła jednak coś zupełnie odwrotnego – w 2017 r. zlikwidowała istniejącą dotychczas możliwość zdawania egzaminu sędziowskiego przez referendarzy i asystentów sędziów. To odbiło się oczywiście na sprawności funkcjonowania sądów.

Teraz prawica i prezydent, zamiast naprawić to, co zepsuli, forsują projekt tworzenia sądów pokoju, który jeszcze pogorszy działanie wymiaru sprawiedliwości w Polsce. „Proponowane rozwiązania są zupełnie niespójne z rozwiązaniami obowiązującymi i będą prowadziły do dalszej dekompozycji systemu sądownictwa”, podkreśla stowarzyszenie Iustitia. Za to sądownictwo stanie się znacznie bardziej zależne od decydentów, a ten cel uświęca środki.

Andrzej Dryszel

13. Festiwal Muzyki Filmowej Krzysztofa Komedy

7-8 października 2022
www.fm fkk.pl
 Studio Koncertowe PR
 im. W. Lutosławskiego
 Kino Atlantic
 Warszawa

Organizator: JAZZ ART FUNDACJA
 Główny partner: X-FILM
 Partnerzy: ZAKS, STOART
 Patroni medialni: JAZZ, jazz forum, Warszawa.pl, P, jetline

Byłem przy egzekucji Kurskiego

Zmiany kadrowe w telewizji muszą być, i to radykalne

Rozmawia Robert Walenciak

Może niepotrzebne są te wszystkie dyskusje i boje o telewizję, skoro spada oglądalność?

– Jakiś czas temu się wydawało, że ten spadek jest nieuchronny.

Że internet wyprze telewizję.

– A ona się broni. Zmienia się. W Polsce nadal jest oglądana przez cztery godziny dziennie. To masa czasu. Jesienią, zimą – więcej, latem – mniej, ale cztery godziny dziennie! Przeciętny Kowalski każdego dnia tyle czasu spędza przed ekranem telewizyjnym. Do tego dochodzą inne usługi, platformy streamingowe itd. Mało?

Kurski. To była egzekucja

To poniekąd tłumaczy, jakim wstrząsem musiało być odwołanie prezesa TVP Jacka Kurskiego.

– Nie ufam zapewnieniom ludzi PiS, którzy mówią: nic się nie stało. Wtedy ich pytam: skoro nic się nie stało i nie było takiej potrzeby, to po co było go zmieniać? Nawet z punktu widzenia PiS były więc jakieś powody, dla których Kurski został, brutalnie zresztą, zwolniony. To była – powiedziałbym – egzekucja. I to taka w ciemnym zaułku. A konkretnie w telewizyjnej windzie.

!

– Kurski brał udział w wirtualnym posiedzeniu Rady Mediów Narodowych. Ale zapowiadał wcześniej, że będzie musiał na chwilę się wyłączyć, żeby zejść do samochodu, którym miał jechać do Skierniewic na jakieś uroczystości. Podczas posiedzenia rady referował punkt dotyczący informacji zarządu telewizji o inwestycjach budowlanych. Budynek w Kielcach, budynek w Gorzowie, budynek hali zdjęciowej... Po czym, jak zapowiadał, na parę minut



**ROBERT
KWIATKOWSKI**

się wyłączył. Gdy się rozłączył, nieoczekiwanie przewodniczący Czabański powiedział, że w związku z tą sprawą uważa, że potrzebne są zmiany kadrowe w telewizji, i składa wniosek o odwołanie Jacka Kurskiego. Myślałem, że spadnę z krzesła! Ale utrzymałem i powagę, i równowagę. Usiłowałem dopytać, jakie są powody, dla których stawia wniosek o odwołanie prezesa TVP, którego kilka miesięcy wcześniej rekomendował na drugą kadencję. Ale odpowiedzi nie dostałem. Zamiast tego doszło do głosowania nad odwołaniem prezesa, a potem nad powołaniem następcy, czyli Matyszkowicza. Cała operacja trwała jakieś 10 minut.

Kurski się nie włączył?

– Już się nie włączył. Podobno próbował, ale nie dał rady.

Może stracił kod dostępu.

– Tego nie wiem. Natomiast na pewno nie dotarł do Skierniewic. Tak się sprawy mają z Kurskim. A z telewizją? Niemal od razu zwolniono szefa Programu 3 TVP, to każe przypuszczać, że jednym z motywów odwołania Kurskiego była nadmierna obecność Solidarnej Polski na ekranach TVP. Że dał o sobie znać, jakiego miał Kaczyński po wyborach 2019 r., kiedy mu się objawiło 19 posłów z Solidarnej Polski. A resztę problemów to my znamy. Bo o ile gowinowców udało się rozmontować, o tyle Solidarnej Polski jakoś nie. Ale myślę, że to nie wszystko... Że tam w tle jest coś więcej.

Ale nie jest to bój o jakość TVP, raczej walka jednej koterii z drugą.

– TVP stanowi część układu władzy, i to dość istotną. I dla zdobycia władzy, i dla jej utrzymania.

Media. Kiedyś były wspólne

Czy jest możliwe, żeby TVP była normalną telewizją publiczną?

– Przypominam, że TVP istniała przed Jackiem Kurskim. I to była zupełnie inna telewizja. Oczywiście też była oskarżana o wszelkie nieprawości, tylko że tam było miejsce dla opozycji i nie stosowano ordynarnych manipulacji. Ani nie było tego słynnego paska w „Wiadomościach”. Ale przynajmniej, że telewizja w tym sensie jest ofiarą polityków, którzy nie potrafią się porozumieć co do jej podstawowych

Robert Kwiatkowski – poseł na Sejm (koło parlamentarne PPS). W latach 1996-1998 członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Od roku 1998 do 2004 prezes zarządu Telewizji Polskiej. Od 2020 r. członek Rady Mediów Narodowych.

kanonów, nie tyle niezależności, ile neutralności politycznej.

Jak politycy powinni się porozumieć w sprawie neutralności mediów publicznych?

– Z trudem to sobie wyobrażam. Porozumieli się, gdy była uchwalana pierwsza ustawa o KRRiTV. Zasiadało w niej dziewięciu członków z nadania Sejmu, Senatu i prezydenta. Co dwa lata zmieniała się jedna trzecia składu. To był dobry pomysł?

– To był znacznie lepszy pomysł. Ale został on zrealizowany dlatego, że istniało ponadpartyjne porozumienie, od Marka Siwca reprezentującego

z klubu Nowa Lewica, jest inaczej. On wstrzymuje się od głosu. Tak było w przypadku powołania Krzysztofa Czabańskiego na przewodniczącego Rady Mediów Narodowych i tak było w przypadku powołania Mateusza Matyszkowicza na prezesa TVP – wstrzymał się, ja byłem przeciw. Jest to jakaś tendencja, mogę powiedzieć.

TVP. Wiem, jak ją zmienić

Czy można zbudować porządne i uczciwe media publiczne?

– Zdecydowanie tak! Ale najpierw trzeba zbudować społeczeństwo obywatelskie.

Z punktu widzenia PiS były jakieś powody, dla których Kurski został, brutalnie zresztą, zwolniony.

lewicę po Marka Markiewicza reprezentującego Solidarność, że obok sporów i bardzo gorących konfliktów istnieje coś, co jest wspólne, o co trzeba zadbać. To były media publiczne. Dzisiaj, jak mówiłem, z trudem to sobie wyobrażam.

Pan też zasiada w Radzie Mediów Narodowych. Też odgrywa jakąś rolę.

– Ona wynika z ustawy o Radzie Mediów Narodowych. Ustawowo opozycja ma tam gwarantowane dwa z pięciu miejsc. Ja zajmuję miejsce jako przedstawiciel opozycji. Zostałem wskazany przez prezydenta, spośród kandydatów rekomendowanych przez opozycję. I wyłącznie dlatego jestem w radzie.

I co pan w niej może?

– Mogę przegrać głosowanie. A na poważnie, mogę mieć wgląd w takie sprawy, w które zwykły poseł wglądu by nie miał albo miałby znacznie utrudniony. To są sprawozdania finansowe, to są informacje na temat tego, co w mediach się dzieje, oraz udział w wyborach władz mediów publicznych. Na razie jest on iluzoryczny, bo zawsze przegrywamy głosowania.

Dwa do trzech.

– O nie! Tak przegrywaliśmy głosowania, gdy w radzie był Juliusz Braun reprezentujący KO. Wtedy było dwa do trzech. Natomiast gdy jego miejsce zajął Marek Rutka

Czyli nie można.

– W Polsce nie ma BBC, bo nie ma Brytyjczyków. To może zużyty przykład, ale coś takiego buduje się przez dziesięciolecia. Oczywiście możemy dbać o precyzyjne zapisy prawa, ale to nie wystarczy. Bo wszelkie zapory prawne ci, którzy je stworzyli, czyli politycy, są w stanie rozmontować. To samo było z Trybunałem Konstytucyjnym, z Krajową Radą Radiofonii

Jednym z motywów odwołania Kurskiego była nadmierna obecność Solidarnej Polski w TVP. Ale to nie wszystko. W tle jest coś więcej.

i Telewizji. Po prostu do władzy doszła formacja, która programowo niszczy wszystko, co uznaje za niezależne od niej. Kaczyński wyznaje filozofię pełnej kontroli. Dlatego tak smutny jest w Polsce los samorządów, wymiaru sprawiedliwości i mediów. To są różne odstony tego samego procesu. Chodzi o wrogość do wszystkiego, na co rządzący nie mają wpływu. To zasadniczo odmienna filozofia od tej, którą reprezentuje demokratyczna opozycja. Demokratyczna, podkreślam.

Za Brauna TVP również nie świeciła przykładem pod względem niezależności i bezstronności.

– Nieprawda! Można Braunowi, zresztą tak jak mnie, mnóstwo rzeczy zarzucić, ale, po pierwsze, wtedy słowa krytyki odnosiły jakiś skutek. A po drugie, chcę przypomnieć, że to za jego czasów był na antenie Pospieszalski i jego szczujące na prezydenta Komorowskiego programy. A dziś? Proszę sobie wyobrazić, że za Kurskiego swój program w TVP ma zdecydowanie platformiany publicysta. **Na przykład Tomasz Lis.**

– I gwałtownie, w radykalny sposób atakuje Andrzeja Dudę. Albo Jarosława Kaczyńskiego. Czy ktoś to sobie wyobraża? To jest ta różnica. **Możliwe, że za rok dzisiejsza opozycja przejmie władzę. I będzie miała dylemat dotyczący mediów publicznych. Najprościej byłoby wyrzucić tych z PiS i wsadzić swoich, też gorliwych.**

Ala czy tego byśmy chcieli?

– Nie mam dobrej odpowiedzi na takie pytanie. Przypomnę, że do roku 2025 prezydentem będzie Andrzej Duda, który ma prawo weta. Ale wydaje mi się, że mam jakiś pomysł na uporanie się z tym problemem, bo zmiany kadrowe w telewizji muszą być, i to radykalne. Inaczej ta nowa władza po prostu sobie nie poradzi z nową opozycją. Jestem co do tej tezy przekonany.

Czyli jak wyrzucimy Matyszkowicza i innych i wstawimy w to miejsce swoich, to będzie dobrze?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że to nie będzie mój problem. Miałem swój czas. Z tego, co zrobiłem dla telewizji i mediów, jestem dumny, ale może wystarczy.

A jakiś pomysł pan ma?

– Pomysł mam. Ale siłą rzeczy nie nadaje się to do upubliczniania.

Pieniądze. Jednych niewołą, drugim dają wolność

Media muszą być niezależne finansowo.

► – W pewnym sensie jest to zasługa Jacka Kurskiego, bo on sprowadził na telewizję deszcz pieniędzy.

Brawa dla niego?

– Nie! Bo to, co zrobił, jest gorsze niż zbrodnia. On całkowicie uzależnił Telewizję Polską od dotacji budżetowej. Czyli od dobrej woli partii rządzącej.

Która albo da pieniądze, albo nie da.

– Dokładnie tak. I tyle.

Przyjdzie Tusk i powie, że nie da pieniędzy, i telewizja zbankrutuje.

– Powodów niedania jest wiele. Zamiast dwumiliardowej dotacji na media publiczne można finansować programy onkologiczne. To proponowała dwa lata temu opozycja, ale PiS zdecydowało, że pieniądze pójdą na TVP. Pewnie można by tę sumę

dobre programy. Bez pieniędzy się nie da.

– Na pewno się nie da. Poza tym, pamiętajmy, jest zasadnicza różnica między telewizją publiczną a nadawcami komercyjnymi. Komercyjni de facto sprzedają uwagę widzów. To jest ich filozofia – kupić coś atrakcyjnego, byle tanio, wywołać zainteresowanie, ruch, i sprzedać agencjom reklamowym. Natomiast telewizja publiczna ma inne zadania. Owszem, mogłaby sprzedawać uwagę widza, ale byłoby lepiej, aby produkowała własne formaty i tym sposobem pełniła również funkcję kulturotwórczą. Bo to daje pracę scenarzystom, aktorom, wtedy TVP jest częścią tzw. przemysłu kreatywnego, który promieniuje na całą

Dlaczego nie wykorzystuje się tego?

– Bo my nie potrafimy tego robić.

Kurski?

– Jaki Kurski! My – Polacy. Choć nie popadajmy w nadmierny krytycyzm. Polska telewizja już w czasach demoludów miała wysoki standard i była niezwykle popularna. To zresztą powód jej popularności po dziś dzień. W sumie także w czasach III RP telewizja publiczna była bardzo silna. I odegrała kapitalną rolę, chociażby w uratowaniu sektora filmów fabularnych. Państwo wtedy było biedne i miało opory przed dofinansowaniem produkcji filmowej. Ta rola spadała na telewizję publiczną, która była postrzegana jako instytucja szalenie bogata.

Czy telewizję publiczną można jeszcze uratować? Czy lepiej od razu ją zaorać?

– Nie ma w ogóle takiej kategorii jak zaoranie. To figura publicystyczna, ale pusta. Co to znaczy zaorać? Wysadzić w powietrze? I co dalej? Powiedzmy otwarcie: nową telewizję będą tworzyć w 95% ci, którzy pracują dziś na Woronicza. Na podstawie swoich kompetencji, kontaktów i doświadczenia. Bądźmy praktyczni. Trzeba pracować z tymi, którzy są. Oczywiście rezygnując z tych, którzy odeszli od swojego zawodu, zwłaszcza dziennikarskiego. Wydaje mi się, że to jest spokojnie do ogarnięcia. Przy czym, zastrzegam, to będzie kosztowało masę czasu i pieniędzy.

Dlaczego czasu?

– Bo tego nie da się zrobić w 30 minut. W 30 minut to można prezenterów w „Wiadomościach” zmienić. Ale też jedynie na tych, którzy już byli. Bo to tylko niektórym się wydaje, że masz teleprompter, siadasz, mówisz dzień dobry i prowadzisz program. To tak nie działa. To rzemiosło, którego trzeba się uczyć. Latami. Warto do tego jeszcze mieć talent, ale tego nie da się zrobić z marszu. Poza tym telewizja to duży statek – jak wykonuje skręt, to mu zajmuje i czas, i odległość. Nie ulegajmy złudzeniom. Ale i nie popadajmy w defetyzm, bo wszystko da się zrobić, tylko trzeba mieć zdrową perspektywę. I trzeba na tym się znać.

Robert Walenciak

Kaczyński wyznaje filozofię pełnej kontroli. Dlatego tak smutny jest los samorządów, wymiaru sprawiedliwości i mediów.

podzielić w jakiejś proporcji, ale też media publiczne muszą uczciwie z pieniędzy się rozliczać. Nie ma sensu wydawać milionów na tandetną rozrywkę czy na licencje sportowe, których ceny są astronomiczne.

Pamiętam pańską telewizję, która także miała pieniądze.

– Dzięki czemu była absolutnie niezależna od jakiegokolwiek rządu, czy to był rząd AWS, czy SLD. Finansowanie z abonamentu było niedostateczne, ale mieliśmy bardzo silną pozycję rynkową. Jako TVP mieliśmy ponad połowę udziału w rynku, dzisiaj jest to 27-28%. Z tego mieliśmy korzyści, czyli pieniądze z rynku reklamowego, ale równocześnie byliśmy obiektem bezwzględnych ataków ze strony nadawców komercyjnych. Bo, jak wiadomo, tort reklamowy jest jeden i albo oni, albo my. W moich czasach – my.

Był wtedy pomysł, żeby mediom publicznym odebrać reklamy.

– Nie dawali rady w grze rynkowej, to próbowali nas załatwić regulacjami natury prawnej. Ale udało się obronić.

Telewizja musi mieć pieniądze, chociażby po to, żeby produkować

gospodarkę. Kiedyś mogliśmy mówić o teatrach, o kinie, dzisiaj to są platformy streamingowe, domy mediowe, agencje reklamowe, to jest pisanie różnego rodzaju programów komputerowych.

Zaorać TVP? Co to znaczy?

Jeżeli TVP nadawałaby dobry program, wyznaczałyby standardy, to inne media też musiałyby podnosić poziom.

– To jest podręcznikowy przykład i zadanie dla nadawców publicznych – ustanawianie standardów, punktów odniesienia. Jeśli programy informacyjne są na wysokim poziomie u nadawcy publicznego, to prywatni nadawcy albo rezygnują z tego formatu i uciekają w inne, albo muszą do tego się dostosować. Zaoferować towar i usługę o porównywalnej jakości. A z tym jest problem, bo TVP, poprzez oddziały terenowe i kilkadziesiąt redakcji, może oferować dostęp do wydarzeń i relacje nieporównywalne z tym, co mają nadawcy komercyjni. Nieporównywalne nawet z tym, co może dać PAP.

Z Galicji



Jan Widacki

Ciemnota i zabobon

Wczasach rewolucji naukowej, jak określa się niekiedy długi okres historii od Kopernika po Newtona, rodziły się nauki nowożytne. Ścisłej, tylko nauki przyrodnicze. Nauki społeczne powstały znacznie później, w okresie pozytywizmu. Co najmniej od tej pory potrafimy rozróżnić, co jest nauką, a co nią nie jest. Potrafimy również ocenić, czy coś jest naukowo udowodnione, czy nie jest. Przyjmowaliśmy też na ogół bez zastrzeżeń, że poznanie naukowe jest najpewniejszym z możliwych sposobów poznawania rzeczywistości. Oczywiście równoległe z nauką zawsze funkcjonowali jacyś hochsztaplerzy, maniacy wynalazcy, jakieś wróżki czy wróżbici, znachorzy, zamawiacze chorób lub niepogody.

Odnoszę wrażenie, że ten do niedawna klarowny podział ostatnio nieco się zaciera. W mediach coraz częściej pojawiają się „eksperci” czy „specjaliści” z różnych dziedzin, z własnej na ogół nominacji. Trwająca już pół roku wojna w Ukrainie, a ostatnio i uroczystości żałobne po śmierci królowej Elżbiety II zrodziły, jak widać, zapotrzebowanie na usługi takich „ekspertów”. Jasnowidz Jackowski w poważnych, jak można by sądzić, portalach internetowych wieszczy losy wojny, klęski i kataklizmy. Niektóre na szczęście zdążyły się przedatować jeszcze przed spełnieniem. Mimo to niezrażony jasnowidz wieszczy kolejne...

Zapanował także urodzaj na speców od „mowy ciała”. Obiektem ich diagnoz do niedawna był Putin, na chwilę miał konkurencję w członkach brytyjskiej rodziny królewskiej. Ale że w Londynie już po pogrzebie, nasi specy od mowy ciała mogą wrócić do Putina. Jeden z tych speców w poważnym (?) portalu informacyjnym obsługiwał równocześnie jego i rodzinę królewską. U Putina wygłaszającego orędzie zauważył „przechylenie głowy”, które zinterpretował jako „sygnalizację groźby”. Wypatrzył też „ruch kciuka” dyktatora, w czym doszukał się objawów stresu. Ale zbadał również „mikroekspresję twarzy” rosyjskiego przywódcy, z której wynikało, że Putin przeżywa strach. Dla odmiany książkę Harry „złapał się wzrokiem z Williamem”, po czym „spuścił wzrok”. Ha, nasz „ekspert” bezbłędnie na tej podstawie ocenił relacje między braćmi książętami. Diagnozując „mowę ciała” żałobników, stwierdził, że dobrze nam znany uśmiech prezydenta Dudy był „uśmiechem społecznym”, bardzo na miejscu w czasie pogrzebu, a nie, jak niektórzy zarzucali prezydentowi, czymś niestosownym czy zgoła głupawym.

Chciałoby się zapytać, na jakim to uniwersytecie takiej wiedzy o „mowie ciała” można nabyć, w jakich to naukowych dziełach czy czasopismach można wyczytać, że „trzymanie ręki na stole” znamionuje chorobę, „przechylenie głowy” wyraża skrywaną groźbę, a „ruch kciuka” ujawnia tłumiony stres? I co można wyczytać ze spuszczenia na chwilę wzroku? Jakież to badania empiryczne potwierdzają takie zależności? Gdzie były publikowane? Ale, pamiętajmy, nasz spec od mowy ciała twierdzi, że zbadał też mikroekspresję twarzy Putina. To ciekawe. Mikroekspresja jest rzeczywiście frapującym zjawiskiem. Oczywiście powszechnie wiadomo, że emocje ujawniają się m.in. w ruchach mimicznych. Człowiek panujący nad emocjami potrafi zapanować także nad swoją mimiką. Rzecz w tym, że zapanowanie nad nią wymaga chwili (od 0,25 do 0,1 sekundy). Jest to czas porównywalny z mrugnięciem oka. Przez ten czas mimika obserwowanego wyraża autentyczną (ale wciąż

Ostatnio w mediach ujawniło się kilkoro speców od „mowy ciała”. Reklamują się, że potrafią bezbłędnie wykryć kłamstwo.

wieloznaczną!) emocję. To jednak czas za krótki, aby tę mikroekspresję spostrzegła osoba trzecia. Do tego potrzebna jest aparatura i specjalny program. Nie sądzę, aby nasz „specjalista” tym dysponował. Ma zdolność spostrzegania podprogowego czy tylko wybujałą fantazję? Chyba to drugie.

Ostatnio w mediach ujawniło się kilkoro speców od „mowy ciała”. Reklamują się, że potrafią bezbłędnie wykryć kłamstwo. Jeden z tych speców jako rekomendację podaje, że „regularnie występuje w roli eksperta w TVN” i prowadzi „analizy mowy ciała dla Onet.pl”. To jeszcze nic. Jedna ze specjalistek nawet książkę wydała, udzieliła wywiadu poważnemu tygodnikowi, a mając tak bogate CV, została zaproszona do prowadzenia szkolenia w jednej z instytucji państwowych odpowiedzialnych za nasze bezpieczeństwo. Wszyscy wspomniani „specjaliści” prowadzą odpłatne szkolenia, mnożąc liczbę podobnych sobie pseudoekspertów. Tylko czekać, aż spotkamy ich jako biegłych w sądach.

Czasy saskie wracają wielowymiarowo. Jakby mało było dewocji, nietolerancji religijnej, sarmackiego patriotyzmu, przekonania o historycznej wyższości nad otoczeniem i partyjniactwa, to jeszcze ciemnota i zabobon. A może to wszystko zawsze idzie w parze? ■



Ponury zmierzch polskiego węgla

Czarnego złota mamy na 200 lat. Szkoda, że pod ziemią

Marek Czarkowski

16 września br. odwołany został prezes spółki Lubelski Węgiel Bogdanka Artur Wasil. Chwilowo jego obowiązki przejął dotychczasowy zastępca ds. ekonomiczno-finansowych Artur Wasilewski. Nie było to zaskoczeniem, gdyż dwa dni wcześniej minister aktywów państwowych Jacek Sasin ogłosił na Twitterze, że jest po rozmowie z Pawłem Majewskim, prezesem Grupy Enea, która posiada kontrolny pakiet akcji Bogdanki, i na najbliższym posiedzeniu rady nadzorczej zostanie rozpatrzone odwołanie Wasila. Spekulowano, że decyzja ta może mieć związek z sytuacją na rynku węgla. I z tym, że przed Bogdanką ustawiały się długie kolejki po węgiel.

Zdjęcia i rozmowy z ludźmi czekającymi na możliwość zakupu kilku ton opału obiegły media na całym świecie – w tym Fox News i CNN. Sasina miała zboleć uwaga kierowcy jednej z ciężarówek: „Teraz jest gorzej niż za komuny”. Prawda była inna. W kopalni nastąpiło zaciśnięcie nowej ściany wydobywczej, co oznaczało zniszczenie lub poważne uszkodzenie obudowy wyrobiska oraz natychmiastowy

spadek wydobycia. Dlatego w tym roku do elektrowni w Kozienicach i Połańcu oraz elektrociepłowni, które wchodziły w skład Grupy Enea, trafi o 1,441 mln ton węgla mniej.

Gdy weźmiemy pod uwagę, że Bogdanka ma ponad 25% udziału w rynku węgla sprzedawanego energetyce zawodowej, nie powinniśmy się dziwić, że Enea ma poważny problem. W Polsce od maja zaczęło brakować węgla dla odbiorców indywidualnych. A we wrześniu okazało się, że może go zabraknąć dla elektrowni i elektrociepłowni, które dotychczas czuły się bezpiecznie. Dla polityków PiS scenariusz, w którym zimą z powodu braku surowca doszłoby do wyłączeń prądu, to koszmar.

Kasa, misiu, kasa...

Brakujący węgiel się znajdzie. Trzeba będzie go sprowadzić z Australii, Indonezji, Republiki Południowej Afryki lub z innego, równie dalekiego kraju. Oczywiście za wielokrotnie wyższą cenę. Jeśli te koszty nie przełożą się na wysokość rachunków za prąd dla odbiorców indywidualnych, to poważnie uderzą w wyniki finansowe Grupy Enea.

Zaciśnięcie nowej ściany wydobywczej w Bogdance miało przyczyny naturalne, lecz konsekwencje tego zdarzenia, w postaci spadku wydobycia, są zależne od władz spółki. Gdy zaś nie wiadomo o co chodzi, to z pewnością chodzi o pieniądze.

W 2021 r. zysk netto kopalni Bogdanka wyniósł 276,1 mln zł, a tylko w pierwszej połowie tego roku sięgnął 336 mln zł. Gdyby nic się nie wydarzyło, końcówka roku finansowo byłaby rewelacyjna. Powodem wysokich zysków tej kopalni jest wzrost cen węgla, choć nie taki jak na rynkach międzynarodowych. Bogdanka nie sprzedaje go rodzimym elektrowniom i elektrociepłowniom po 300-350 dol. za tonę, jak ma to miejsce w portach w Rotterdamie czy Antwerpii, lecz znacznie, znacznie taniej, a mimo to zarabia. Zarząd spółki, na czele którego stał prezes Wasil, by utrzymać dobre wyniki, oszczędzał, na czym mógł.

W 2020 r., z powodu pandemii, w trudnym okresie dla górnictwa na całym świecie, Bogdanka zarobiła netto 73 mln zł. Na tle innych polskich kopalni był to wybitny wynik. Cena tony węgla na rynkach europejskich oscylowała wówczas wokół

Bogdanka nie sprzedaje węgla rodzimym elektrowniom po 300-350 dol. za tonę, lecz znacznie taniej, a mimo to zarabia.

50-60 dol., a nasze przykopalniane składy dławili się niesprzedanym surowcem. Sytuacja zmieniła się w roku ubiegłym, gdy wzrosło zapotrzebowanie na energię elektryczną gospodarek wychodzących z pandemicznego spowolnienia. Ceny węgla na światowych rynkach poszły w górę.

W tym roku jest znakomicie, co cieszy naszych górników – szacuje się, że ich wynagrodzenie już wzrosło o ponad 22% – lecz doprowadza do łez odbiorców prądu oraz tych, którzy ogrzewają domy węglem kamiennym i zmuszeni są płacić za kolumbijski ekogroszek ponad 3 tys. zł za tonę.

Nic nie wskazuje, by miało to się zmienić. Mimo ogromnego zapotrzebowania na węgiel jego wydobycie w Polsce znacząco nie wzrosło. Głównie z powodu oszczędności i niedoinwestowania.

W przeszłości w kopalniach przygotowywano ściany rezerwowe, na których zaczynało wydobycie, gdy przychodziło zamknąć te już wyeksploatowane lub gdy zdarzyło się jakieś nieszczęście. Wymagało to wysokich nakładów finansowych, inwestycji w sprzęt, w obudowy chodników i w ludzi. Od kilku lat w polskich kopalniach tak się nie pracuje. Dlatego Bogdanka nie była dobrze przygotowana na to, co stało się z jej nową ścianą wydobywczą. I trzeba było zapomnieć o zapowiadanych w marcu br. przez prezesa Wasila wydobyciu 9,5 mln ton.

Ciekaw też jestem, co z dostawami węgla z Bogdanki do Ukrainy. W tym roku planowano sprzedaż naszemu wschodniemu sąsiadowi 0,5 mln ton węgla. Inne polskie kopalnie są w podobnej sytuacji i nawet jeśli bardzo by chciały, nie mogą znacząco zwiększyć wydobycia.

Musimy pamiętać, że od 1990 r. wydobycie węgla kamiennego w Polsce systematycznie spada. Wtedy fedrowano niemal 200 mln ton, a w ostatnich latach zaledwie 55 mln ton. Spadło również zatrudnienie – w 1990 r. w górnictwie było zatrudnionych 370 tys. osób, a dziś

w kopalniach pracuje niewiele ponad 70 tys.

Nie jest też dobrze z bezpieczeństwem pracy. Od stycznia do 22 września br. w kopalniach węgla kamiennego doszło do 1167 wypadków, w których śmierć poniosło 22 górników. Dla porównania – w roku ubiegłym w 1773 wypadkach zginęło dziewięciu górników, czyli tyłu, ilu w 2020 r.

Wiosną br., po wprowadzeniu przez rząd premiera Morawieckiego całkowitego embarga na rosyjski węgiel, należało zrobić wszystko, by zwiększyć krajowe wydobycie. Tak się nie stało i teraz musimy się mierzyć z kryzysem. Ale nawet jeśli w tej chwili zapadłaby na szczęblu rządowym decyzja o zwiększeniu wydobycia i znalazłby się środki na inwestycje w górnictwo, poprawę sytuacji odczuliśmyby dopiero za jakiś czas. Dlatego, jeżeli ktoś sądzi, że to nadchodząca zima będzie trudna, jest w błędzie. Za rok może być jeszcze gorzej.

Koniunktura na pstrym koniu jeździ

Czy ktoś jeszcze pamięta o tym, że na początku marca br. rząd Mateusza Morawieckiego przyjął w drodze uchwały dokument o transformacji polskiego sektora elektroenerge-

nasz kraj zobowiązaniami międzynarodowymi. Kopalnie w połowie stulecia przeszłyby do historii, tak jak miało to miejsce w Niemczech, we Francji i w Wielkiej Brytanii. Wojna w Ukrainie sprawiła, że te plany zostały chwilowo zdjęte z agendy.

Jakkolwiek byśmy to oceniali, Polska dzięki zasobom węgla i tradycyjnej energetyce może się czuć względnie bezpiecznie. W Wielkiej Brytanii ceny energii dla gospodarstw domowych wzrosły o 80%, a nad Wisłą jedynie o 24%.

Nie da się tego powiedzieć o szkołach, domach pomocy społecznej, instytucjach samorządowych, małych i średnich przedsiębiorstwach czy zakładach przemysłowych. Tam wzrost cen liczony jest w setkach procent. A rząd dopiero teraz zabrał się do szukania rozwiązań.

Sytuacja byłaby znacznie lepsza, gdyby polskie kopalnie były doinwestowane i szybko mogły zwiększyć wydobycie. Ale od lat górnictwo, jako mało perspektywiczna gałąź gospodarki, nie może liczyć na wsparcie banków. Potwierdza to opublikowany w maju br. przez Fundację Rozwój TAK – Odkrywy NIE raport „Banki finansują sektor paliw kopalnych”. Autorzy podkreślają, że banki aktywnie za to wspierają państwowe spółki, takie jak Energa czy Polska Grupa

Od stycznia do 22 września br. w kopalniach węgla kamiennego doszło do 1167 wypadków, w których śmierć poniosło 22 górników.

tycznego, zakładający utworzenie Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego (NABE)? W jej skład miałyby wejść „aktywa węglowe” wydzielone z kontrolowanych przez państwo spółek.

W przeszłości PGE, Enea i Tauron miały się skupić na zarządzaniu firmami ciepłowniczymi i kogeneracyjnymi (kogeneracja to proces technologiczny jednoczesnego wytwarzania energii elektrycznej i ciepła użytkowego), stopniowo przechodząc na gaz, a następnie na takie paliwa jak biometan czy wodór.

Przejęte przez NABE elektrownie węglowe miały być stopniowo wygaszane zgodnie z przyjętymi przez

Górnica, które są właścicielami kopalń, w pozyskiwaniu funduszy, poprzez obsługę emisji obligacji. Co w ocenie ekologów nie jest zgodne z międzynarodowymi zobowiązaniami naszego kraju. Tak więc bezpośredniego wsparcia dla kopalń nie ma, jest wsparcie pośrednie.

W połowie czerwca wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin oświadczył, że Polska będzie musiała „w najbliższym czasie zwiększyć wydobycie węgla i inwestować w górnictwo”. I zapewniał: „Spółki węglowe – przede wszystkim Polska Grupa Górnicza, ale również Bogdanka – pracują bardzo intensywnie nad inwestycjami, tak aby można

- było w szybkim czasie, w ciągu kilku miesięcy, wyraźnie zwiększyć wydobycie węgla". Nic nie wskazuje na to, by zapowiedź Sasina miała się ziścić.

Zapłacimy wszyscy

Czy możemy oczekiwać, że rząd Morawieckiego w końcu podejmie decyzję, że inwestujemy w górnictwo i energetykę opartą na węglu, odchodząc tym samym od przyjętych przez kraje UE planów osiągnięcia do połowy XXI w. neutralności klimatycznej? Czy będziemy raczej trzymać się ustaleń sprzed pandemii i wojny w Ukrainie, konsekwentnie realizując program rozwoju energetyki opartej na atomie, gazie ziemnym i odnawialnych źródłach energii? Ten drugi wariant oznacza rezygnację z energetyki węglowej oraz wygaszanie kopalń – i węgla kamiennego, i brunatnego.

W tym roku doszło do dziwnej sytuacji. W lutym Polska Grupa Górnicza otrzymała dotację w wysokości 400 mln zł. Środki te miały zostać przeznaczone na redukcję zdolności wydobywczych w kopalniach.

A poszły na wypłatę wynagrodzeń dla górników.

Latem, gdy braki spowodowane wprowadzeniem przez Polskę embargo na węgiel z Rosji stały się aż nazbyt widoczne, wicepremier Sasin przyznał, że z powodu realizacji wcześniejszych rządowych planów wygaszania górnictwa inwestycje w tej dziedzinie były bardzo ograniczone, lecz teraz należy owe plany zrewidować. Nic mi nie wiadomo, na czym ta „rewizja” miałaby polegać. Wiem natomiast, że uruchomienie nowej ściany wydobywczej w kopalni kosztuje ok. 200 mln zł. A na efekty w postaci znaczącego wzrostu wydobycia trzeba czekać dwa, trzy lata.

Jedno jest pewne: Polska w kolejnych latach zmuszona będzie importować coraz więcej węgla ze wszystkich – z wyjątkiem Rosji – kierunków. To on jest podstawą naszej energetyki. Bez niego czekają nas poważne problemy gospodarcze i społeczne. Europa powoli zaczyna rozumieć, że czas tanich surowców energetycznych się skończył. Oznacza to nie tylko wyższe wydatki gospodarstw

domowych, lecz przede wszystkim osłabienie konkurencyjności całych gałęzi przemysłu europejskiego.

Polska ze swoimi bogatymi złożami węgla powinna sobie radzić z kryzysem energetycznym wywołanym wojną w Ukrainie lepiej niż inne państwa. Także w przyszłości powinno to być naszym atutem. Na razie obserwujemy puste składowiska węgla, zapisy na zakupy opału jak w czasach głębokiej PRL i próby sprzedaży po okazjonalnych cenach pomalowanego czarną farbą gruzu, który ma udawać węgiel, czemu towarzyszą zapewnienia rządzących, że wszystko jest pod kontrolą. Nikt nie wspomina, że w 2023 r. nasz kraj będzie musiał sprowadzić jeszcze więcej węgla z antypodów, by zatkać dziurę powstałą po wprowadzeniu embargo na surowiec z Rosji.

Jeśli wojna w Ukrainie potrwa dłużej, jaka będzie cena tony czarnego złota? Nikt nie jest w stanie przewidzieć. Tak czy inaczej, będziemy płacić. Oby jak najmniej.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Paweł Domagała Martyna Byczkowska Olaf Lubaszenko Kinga Preis Ireneusz Czop

NA CHWILĘ NA ZAWSZE
NIE BÓJ SIĘ KOCHAĆ

JUŻ NA DVD

FILM PIOTRA TRZASKALSKIEGO REŻYSERA HITU „MÓJ ROWER”

WP FILMWEB diaStudenta.pl P KINOŚWIAT

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Podróże po Polsce

Drohiczyn jest miastem tak urzekającym, że gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, powiedziałem, że chciałbym tu być pochowany. Położenie na malowniczej skarpie nad Bugiem płynącym wolno wśród łach i zarośli jest niepowtarzalne, a styk katolicyzmu z prawosławiem i polskości z ruskością uświadamia lepiej niż gdziekolwiek istotę naszego kulturowego dziedzictwa. Ale czegoż to Polak nie potrafi: oficjalne oblicze Drohiczyzna jest dziś narodowo-polskie. Choć przecież obok kościołów wznosi się okazała cerkiew, zaprzeczając narzucanemu przekazowi.

Tablica na drohiczyńskim rynku mówi jednak tylko o tradycji piastowskiej. A głąz pamiątkowy informuje, że w Drohiczyźnie w roku 1253 koronował się na króla Daniel Romanowicz. Ten władca jest na ogół znany jako Daniel Halicki – czyżby nazwa ruskiego Halicza nie mogła wdarzom miasta przejść przez gardło? Przypuszczenie zamienia się w pewność, gdy na obelisku w ogóle nie znajdujemy informacji, czym właściwie królem był Daniel. Może królem Polski? Tymczasem to jedyny w dziejach król Rusi! Polak rzeczywiście potrafi. Zwłaszcza zaprzeczyć się swego dziedzictwa.

Zjawisko to widać jeszcze lepiej na Śląsku. W Szczawnie niewielki pomniczek upamiętnia przebywającą tu kiedyś żonę gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, na ścianie dawnego hotelu widnieje informacja, że mieszkał tu Zygmunt Krasiński. Istotnie, w XIX w. zjeżdżali do tego uzdrowiska kuracjusze z całej Europy. Jednak na tym samym budynku umieszczono nieco mniejszą tablicę informującą, że w Szczawnie urodzili się pisarze niemieccy Carl i Gerhart Hauptmannowie. Pisarze niemieccy! Już bardziej stosowne byłoby mówić o Krasińskim „pisarz polski”, bo on był tu przyjezdnym, a oni tutejszymi. Mniejsza też o zrównanie obu braci – wszak tylko Gerhart był geniuszem. Ważniejsze jest konsekwentne używanie nazwy Szczawno w odniesieniu do czasów dawnych. Na Śląsku bowiem wolno zauważać niemiecką przeszłość, ale nie wolno podawać niemieckich nazw. Jeżeli w zamku Książ dowiadujemy się wszystkiego, czego trzeba, o Hochbergach, byłych właścicielach, to już nie dowiemy się, że ich zamek nazywał się Fürstenstein. Toteż i w Szczawnie brak informacji, że to dawny Ober Salzbrunn czy Bad Salzbrunn. Jest to jeszcze bardziej przykre, bo nazwa polska jest nie tylko sztuczna, ale również zastępująca polskie nazwy nadane już uprzednio. Jeszcze kilka lat po wojnie Salzbrunn

nazywał się bądź Stońsk, bądź Solice, „Szczawno” pojawiło się dopiero w roku 1951. Nie mogliśmy się zdecydować.

Trudno udźwignąć dziedzictwo niemieckie, a przecież, wraz z przejęciem Śląska, jest to też nasze dziedzictwo. Na tablicy w Szczawnie nazwa miejsca śmierci Gerharta Hauptmanna brzmi Jagniątków. Tymczasem akurat wtedy ta wieś nazywała się Agnieszków – tu też nie mogliśmy się zdecydować. Ale czy coś by się stało, gdyby podać, choćby w nawiasie, wcześniejszą, historyczną nazwę niemiecką: Agnetendorf? Hauptmann zmarł tu, w swej willi Wiesenstein, 6 czerwca 1946 r., już pod władzą polską. Na zdjęciu widzimy go krótko przed śmiercią w towarzystwie żony i radzieckiego oficera; twarz starca wyraża bierność, bezradność, całkowitą apatię. Dolny Śląsk (Niederschlesien) i Karkonosze (Riesengebirge) – to była dlań od urodzenia domowa ojczyzna; teraz ma 84 lata i siedzi przed obiektywem, w obliczu opuszczenia stron rodzinnych na zawsze.

Problem powojennych wypędzeń – bądź jakichkolwiek poprzednich – czy innych gospodarzy nie został w Polsce przepracowany.

Willi Wiesenstein w należącym dziś do Jeleniej Góry Jagniątkowie jest otoczona pietyzmem, ale i tam, czytając serdeczny list żony pisarza, można uznać, że jedynym uczuciem, jakie Hauptmannowie żywili do Polaków, była wdzięczność. I nawet nie odbiega to zapewne od prawdy: małżeństwu Hauptmannów władze polskie (a i wojskowe władze radzieckie) zapewniły warunki znośniejsze niż 3 mln Niemców wypędzanych. Nie zmienia to jednak faktu podstawowego – wypędzenia właśnie. Nie przeczytamy w Jagniątkowie ostatnich słów pisarza: „Czy jestem jeszcze we własnym domu?”.

Gerhart Hauptmann, laureat Nobla, od końca XIX w. wielbiony także w Polsce, tłumaczony jeszcze przez Marię Konopnicką, jest symbolem powojennej tragedii Niemców. Nasuwająca się w tym miejscu replika o niemieckich zbrodniach byłaby nie na temat. Zapewne w realiach powojennych usunięcie Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej było koniecznością, ale nie zwalnia mnie to ani z empatii, ani z pamięci. Tego jednak Polak nie potrafi: problem powojennych wypędzeń – bądź jakichkolwiek poprzednich – czy innych gospodarzy nie został w Polsce przepracowany. W Szczawnie to za trudne, ale czemu jest za trudne w Drohiczyźnie? ■

Europa kontra Wielka Technologia

Sądzić, karać, zdelegalizować?
Europa zaczyna grać twardo z cyfrowymi gigantami

Jakub Dymek

Wielkie koncerny cyfrowe ostatnio nie mają w Europie załatwo. Na początku września należąca do Facebooka platforma Instagram została ukarana przez irlandzki urząd ochrony danych osobowych karą przekraczającą 400 mln euro. Chodziło o naruszanie prawa do prywatności i niedostateczną ochronę danych nieletnich. Wkrótce sąd Unii Europejskiej w Luksemburgu wydał orzeczenie jeszcze bolesniejsze dla innego internetowego giganta, Google'a. Sędziowie utrzymali w mocy karę nałożoną w 2018 r. na amerykańską firmę przez Komisję Europejską – tu chodziło o praktyki naruszające konkurencyjność na rynku aplikacji dla smartfonów. Co prawda, sąd uchylił część kary i podważył pewne elementy decyzji Komisji, ale i tak uznał, że Bruksela ma prawo domagać się od Google'a zapłacenia niebagatelnych 4,1 mld euro!

Wszystko to dzieje się w kontekście przyjęcia przez Europę latem tego roku pakietu przełomowych regulacji usług i rynków cyfrowych – znanych pod skrótowymi nazwami DSA i DMA (Digital Services Act i Digital Markets Act). Nowe prawo ma na celu lepszą ochronę użytkowników przed nadużyciami cyfrowego oligopolu, a Bruksela liczy, że może też pomóc mniejszym firmom i lokalnej konkurencji w rywalizacji z gigantami.

Niektórzy już okrzyknęli DSA i DMA „górami lodowymi, o którą rozbijają się okręty flagowe Wielkiej Technologii”. Jest w tym pewnie trochę przesady, bo nie wiemy jeszcze, czy i kto się rozbija. Ale ostatnie ruchy organów europejskich pokazują, że – nie po raz pierwszy – instytucje UE muszą wyręczyć rządy krajowe,



Twarzą walki UE z dominacją firm amerykańskich na europejskim rynku cyfrowym jest Margrethe Vestager.

które są zbyt zastraszone, skorumpowane lub zafascynowane magią Big Tech, by chronić własne rynki i obywateli.

Nierychliwie, ale sprawiedliwie

Twarzą walki Unii z dominacją na europejskim rynku cyfrowym jest 54-letnia Margrethe Vestager, od 2014 r. komisarz ds. konkurencyjności, a od 2019 r. wiceszefowa Komisji Europejskiej. Pochodząca z Danii polityczka w roli strażniczki konkurencyjności i wspólnego rynku europejskiego od początku trafnie diagnozowała zagrożenia. Miała jednak mniej szczęścia do partnerów. Dopóki prezydentem USA był Barack Obama, wielkie platformy cyfrowe cieszyły się specjalną łaską Białego Domu, a w debacie publicznej na ich temat wciąż przeważał zachwyt. Gdy Europa i świat zaczęły lepiej zdawać

sobie sprawę z zagrożeń, w USA już urzędował Trump – i znów trudno było się dogadać. Rządy wielu państw UE – w tym Polski – przez lata w ogóle nie rozumiały argumentów podnoszonych przez Brukselę, a kwestie cyfrowej konkurencyjności i walki z monopolami uważały za co najwyżej trzeci garnitur spraw do załatwienia. Pech prześladował komisarz Vestager także w ostatnich latach, gdy europejskie sądy uchyliły dwie wielkie kary z rządu.

W końcu jednak koniunktura się zmieniła. Prawie nikt już nie podważa konieczności lepszej regulacji kwestii Wielkiej Technologii – a w kontekście najpierw pandemii, a teraz wojny regulatorzy w ogóle zmuszeni są działać szybciej i dmuchać na zimne. Również administracja prezydenta Bidena, jak się wydaje, nie będzie szczególnie sabotować ruchów Europy. Po początkowym oporze amerykańskiego Departamentu Handlu,

jak relacjonował serwis Politico, Biden kazał swoim urzędnikom złagodzić krytykę europejskich pomysłów. Pomaga to, że rządzący w Stanach demokraci są wobec cyfrowych gigantów bardzo sceptyczni, poza tym w USA też toczą się właśnie istotne postępowania antymonopolowe. Sam prezydent mianował zaś na liżące się stanowiska osoby znane z patrzenia na ręce firmom z Doliny Krzemowej. W końcu także – co pokazuje wyrok w sprawie Google’a – Komisja wygrała ważną i prestiżową sprawę. Wszystko to złożyło się na odroczone, ale znaczący sukces.

Nowe prawo ma lepiej chronić użytkowników przed nadużyciami cyfrowego oligopolu, może też pomóc mniejszym firmom i lokalnej konkurencji w rywalizacji z gigantami.

W tym roku UE przyjęła nowe prawo, wspomniane DSA i DMA, które ogranicza samowolę wielkich graczy. Dzięki nowym regulacjom Europejczycy powinni się cieszyć większą łatwością korzystania z aplikacji i usług – firmy bowiem mają nie utrudniać konkurencyjnym aplikacjom „interoperacyjności”. Słowem, chodzi o to, by użytkownik jednego komunikatora internetowego mógł porozmawiać z posiadaczem drugiego i byśmy mogli łatwiej przenosić swoje dane z jednego konta na drugie. DSA ma też zakazać wykorzystywania danych wrażliwych – o stanie zdrowia czy poglądach politycznych – do celów reklamowych i ograniczyć zbieranie danych o dzieciach i nieletnich. Platformy cyfrowe posługujące się algorytmem dobierania treści do użytkowników – czyli m.in. YouTube i Facebook – będą zaś zobowiązane bardziej transparentnie tłumaczyć się z tego, co, dlaczego i na jakiej podstawie nam pokazują.

Lobbing, jakiego Europa nie widziała

Wszystko to być może brzmi zawile i mało spektakularnie. Ale może uderzyć w samo sedno modelu biznesowego firm, które zarabiają miliardy dzięki gromadzeniu olbrzymich ilości danych na nasz temat i uzależnianiu od swoich produktów,

z których nie sposób zrezygnować. To, co z perspektywy zwykłego obserwatora może się wydawać sporem o detale – na temat konieczności audytu czy udostępniania organom kontrolnym informacji – z punktu widzenia wielkich korporacji technologicznych jest walką o zachowanie najważniejszych sekretów. I trzymanie ich za grubą kurtyną, z dala od osądu społeczeństw i polityków.

Nie dziwi więc, że firmy te rzuciły się bronić swoich przywilejów. Zimą 2020 r. „New York Times” opisywał przecieki ze strategii lobbingowej Google’a: poróżnić USA i Europę,

wykorzystać amerykańskich urzędników do sabotowania prac nad DSA i DMA, nagłaśniać korzystne dla siebie opinie naukowców i prawników. Firmy z sektora Wielkiej Technologii zaczęły fundować katedry na uniwersytetach, wspierać think tanki i organizacje biznesowe, współfinansować raporty – wszystko po to, by zaszkodzić planowanym regulacjom. Nakłady na jawny lobbing w samej Brukseli szybko wywindowały firm Big Tech na szczyt listy największych lobbystów – potrojiły one swoje wydatki od 2015 r. i zdetronizowały wcześniejszych liderów lobbingu: branżę chemiczną czy paliwową.

Nakłady na jawny lobbing w Brukseli szybko wywindowały firmy Big Tech na szczyt listy największych lobbystów.

Cytowani przez gazetę przedstawiciele organizacji monitorujących lobbing w Brukseli mówili, że nigdy wcześniej nie widzieli takich pieniędzy i takiej koordynacji po stronie biznesu. Metody z kampanii lobbingowych z Waszyngtonu zostały przez sektor Big Tech przeniesione na Stary Kontynent. Organizacja Corporate Europe Observatory odnotowała w czasie prac nad DSA i DMA zaostrzający się problem „obrotowych drzwi” – przechodzenie

polityków prosto do biznesu, tak szybko, jak to możliwe – który trwa do dziś. I nie omija naszego kraju.

To, jak ważne i przełomowe są regulacje i działania antymonopolowe na poziomie europejskim, należy zatem mierzyć mocą sprzeciwu wobec nich.

Krzemowy koń trojański

Dlaczego więc mówimy, że te działania – regulacyjne i antymonopolowe – organy europejskie wykonują w zastępstwie państw narodowych? Bo przez lata sektor Big Tech korzystał ze słabości przede wszystkim mniejszych – choć nie zawsze – państw i blokował niekorzystne dla siebie regulacje. Powody i rodzaje presji były różne. Na przykład Irlandia stała się ulubionym miejscem lokalizacji siedzib wielkich firm technologicznych z powodu niskich stawek podatkowych, ale nie tylko. Korporacje technologiczne liczyły, że irlandzkie organy ochrony danych osobowych będą za słabe i za biedne, żeby skutecznie sprawować nadzór nad operacjami takich gigantów jak Facebook czy Microsoft w całej Europie. Oraz że perspektywa utraty inwestycji z USA będzie skutecznym straszakiem na władze Zielonej Wypły. Między organizacjami obywatelskimi i rządem Irlandii trwa zresztą niekończący się spór o to, czy Dublin wywiązuje się z tego zadania. Teraz zostanie on przecięty, bo nowe regulacje scentralizują nadzór nad Wielką

Technologią i przekażą część obowiązków w ręce urzędników nadzorujących wdrażanie nowego prawa.

W Polsce firmy Big Tech miały na wielu polach jeszcze łatwiej. U polityków obu największych partii – PiS i PO – nie trzeba skrycie lobbować, bo sami chętnie udzielają się na imprezach sponsorowanych przez gigantów z Doliny Krzemowej. A ich szefów traktują z honorami zarezerwowanymi dla głów państw. Szczególnie po inwazji Rosji na Ukrainę ▶

▶ panuje przekonanie, że patrzenie na ręce amerykańskim korporacjom jest nie na miejscu, „bo od nich zależy nasze bezpieczeństwo”.

Ale to nie jest różnica jakościowa, tylko skali. Już wcześniej Polska była wytykana w Europie jako kraj sabotujący np. plany wprowadzenia jednolitego podatku cyfrowego. Kancelaria premiera Morawieckiego zaprzeczała oczywiście

bez żadnej przerwy w pracy, bez żadnego okresu przejściowego zostaje zatrudniona w Google na stanowisku *governmental affairs and public policy manager*, a więc będzie odpowiedzialna za relację z polskim rządem i będzie dbać o interesy Google w relacjach z tym rządem. Całej sprawie pikanterii dodaje fakt, że pani Zakrzewska wcześniej pracowała w ambasadzie USA i dla ambasady

idące w dziesiątki milionów dolarów programy pomocowe np. dla Ukrainy, których beneficjentami mają być firmy i organizacje z Polski – i nikt nie widzi w tym sprzeczności. W zeszłym roku Polski Instytut Ekonomiczny szacował, że w rzeczywistości na danych Polaków Google i Facebook mogą zarabiać nie 2 lub 4 mld zł, lecz 6 mld. Firmy oczywiście oficjalnymi i nieoficjalnymi kanałami oprotestowały metodykę badania i wnioski z niego.

Bruksela i europejskie organy przejmują zatem kolejne kompetencje i inicjatywę w sprawie, która, pozostawiona rządowi narodowemu i stolicom, być może nigdy nie poszłaby do przodu. To budzi zaś sprzeciw wielkich korporacji, dlatego że Europa wyznacza standardy nie tylko dla najzamożniejszego bloku konsumenckiego na świecie, ale i dla reszty globu. Słowem, w ślad za ustawodawstwem chroniącym klientów i użytkowników w UE idą inne państwa. Lub z propozycjami wzorowanymi na europejskich wychodzą obywatele i legislatury stanowe w USA. W cyfrowej gospodarce

związkom między ciepłymi spotkaniami polskiego premiera z szefem Google’a Sundarem Pichaiem i kupnem przez amerykańską firmę kompleksu biurowego w Warszawie a faktem, że właśnie nasz kraj blokuje niekorzystny dla Google’a podatek. Mało kto zresztą już zauważa, że rząd PiS, który opowiadał o walce z przywilejami zagranicznego biznesu i groził ukróceniem samowoli zachodnich korporacji, w rzeczywistości zajmuje się nie tylko ułatwianiem biznesu, ale wręcz reklamą niektórych firm. „Chciałbym, żeby ktoś patrzył na mnie jak premier Morawiecki na szefa Google’a”, ironizował na stronach portalu Spider’s Web Adam Sieńko w felietonie ilustrowanym zdjęciami szefa polskiego rządu i prezesa globalnego giganta na wspólnej kawie i spacerze. Po stronie opozycji nie jest wcale lepiej – odwiedzającego Warszawę Nicka Clegga, byłego brytyjskiego polityka, który dziś zajmuje się reprezentowaniem interesów Facebooka/Mety na świecie, osobiście witał prezydent stolicy Rafał Trzaskowski, czym pochwalił się w dodatku na Twitterze.

Sprawę „obrotowych drzwi”, czyli przechodzenia urzędników do biznesu, można zaś najlepiej opisać słowami interpelacji posła Jacka Tomczaka z PSL na temat urzędniczej zajmującej się cyfryzacją w rządzie Zjednoczonej Prawicy: „Chwilę po tym [jak] do Ministerstwa trafiają projekty DMA/DSA i właśnie Pani Zakrzewska zajmuje się konsultacją tych projektów, (...) pani Zakrzewska

USA, realizując wiele programów mających na celu wywieranie określonego wpływu na polską społeczność lub czynniki rządowe”. Jak to możliwe, pytał poseł.

Oczywiście dzieje się tak, bo nie ma regulacji, które by tego zabraniały, nikt nie widzi problemu, a sprawa jest i tak zbyt skomplikowana dla przeciętnego wyborcy, by miała potencjał skandalu. Z odpowiedzi rządu na interpelację wynika, że dopóki

Największe firmy cyfrowe w Polsce płacą śmiesznie niskie podatki CIT – kilka lub kilkanaście milionów złotych.

urzędnik nie ma dostępu do tajemnic państwowych i sam nie kształtuje polityki w odpowiednim zakresie, nie ma mowy o konflikcie interesów.

Koniec wolnej amerykanki?

Przy okazji należy przypomnieć, że największe firmy cyfrowe w Polsce płacą śmiesznie niskie podatki CIT – rzędu kilku lub kilkunastu milionów złotych. Nierzadko najpotężniejsze przedsiębiorstwa na świecie płacą od zysków w naszym kraju podatki mniejsze niż zakład z branży mleczarskiej albo samorządowa spółka tramwajarska – można je znaleźć gdzieś w okolicy siódmej i ósmej setki polskich podatników korporacyjnych pod względem wpływów do polskiego budżetu. Jednocześnie, choć deklarują w Polsce bardzo niewielkie zyski, bez problemu ogłaszają

zresztą fizyczne granice mają mniejsze znaczenie – jeśli europejskie prawo rzeczywiście umożliwi lepszą konkurencję mniejszym firmom, to i cyfrowe usługi z innych miejsc świata będą chciały grać na korzystniejszych „europejskich” zasadach.

I wiele wskazuje, że tak właśnie będzie.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kredki, ściaga, mielizna, ławeczka

Polska, rozumiana jako emanacja poczynąń, zachowań i wynurzeń ludzi władzy, coraz intensywniej przypomina marny slapstick. Sam burleskowy żart może komuś się podobać, innemu – nie bardzo. Jeśli jednak „najważniejsze osoby” w państwie (naprawdę, naprawdę najważniejsze? Tylko sobie wyobraźmy, że za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jednej chwili znikają: ten premier, ten nadpremier, prezydent i ci śmiechu warci ministrowie, szefowie służb – świat natychmiast ukołysałby się do spokojnego snu i nabrał harmonii, nic innego nie trzeba by już robić) zachowują się jak chłopcy w krótkich spodenkach, do tego stroją te potwornie poważne ich zdaniem miny, które mają podkreślić, jak bardzo przejmują się odgrywaną rolą – to śmiech więźnie w gardle. A cały spektakl, niezależnie od żenującego poziomu artystycznego, jest niezwykle kosztowny.

Michał Kołodziejczak, szef Agrounii, nie miał żadnego kłopotu z zadrwieniem niemiłosiernie ze skrajnej niekompetencji nowo mianowanego „wiceministra” rolnictwa,

Andrzej Duda sprawia wrażenie wyposzczonego medialnie i łaknącego publicznych przemówień.

posła Janusza Kowalskiego. Scena wręczenia „ministrowi” Kowalskiemu kredki i kartek papieru wraz z zaleceniem, żeby narysował sobie pola i traktory i na tym zakończył aktywność na niwie zarządzania rolnictwem, jest zjawiskowym przykładem, jak należałoby traktować nominacje i samozadowolenie członków tej ekipy. Ponieważ jednak poseł Kowalski jest uosobieniem śladu bezrefleksyjności, który zostawia za sobą ta władza, oraz braku jakichkolwiek skrupułów w podjęciu służby publicznej mimo nieposiadania do tego kompetencji ani uzasadnienia – na jego twarzy nie pojawił się nawet delikatny grymas zrozumienia sceny, w której uczestniczył. Jemu po prostu to się należało.

Ale już przedstawienie pt. „Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej wraz z Małżonką składa piśmne kondolencje z powodu śmierci królowej Elżbiety” wchodzi na wyższy poziom absurdałności odgrywania przez Andrzeja Dudę tej politycznej roli. Nie chodzi o stawianie Dudzie zarzutu niedoskonałego władania w ustach i piórze językiem zmarłej i Szekspira, nie ma bowiem takiego obowiązku ani oczekiwania. Ale kiedy prezydent prawie 40-milionowego kraju wyciąga ukradkiem z rękawa najprawdziwszą szkolną ściągę (sfilmowane, już na

zawsze w internetach, jeśli ktoś nie wierzy) i próbując nieudolnie ukryć ją dłonią, przepisuje zdawkowe zdanko – to jednak ogarnia zgroza. Oglądamy zahukanego uczniaka, który chyba nawet zdaje sobie sprawę, że został przyłapany na tej nieestosowności, ale do końca udaje, że to nie jego ręka, nie jego ściaga, nie jego rękaw. A stoi nad nim mumiwata małżonka, wszakże nauczycielka. Może i podpowiada? „W prawym rękawku masz, Jędrusiu, to...”. Nie ma scenarzystów, którzy wymyśliliby taki gag.

W ogóle Andrzej Duda sprawia wrażenie wyposzczonego medialnie i łaknącego publicznych przemówień jak Antoni Macierewicz sejmowych tyrad w obronie swoich konfabulacji smoleńskich. Z marsową miną starego wilka morskiego wygłasza na otwarciu przekopu Mierzei Wiślanej z patologicznym stężeniem patosu swoje fanfaronady, mówiąc (grzmiać?): „Chcę ogłosić, że mimo trudnego położenia Rzeczypospolitej Polskiej, geopolitycznego w tej części Europy od ponad tysiąclecia, mimo wicherów wojen, które przyginały nas bardzo często do ziemi, mimo

milionowych strat w naszym narodzie, mimo osobistych tragedii, które przeżyły polskie rodziny, pokolenia, mimo wszystkich przeciwności, mimo trudnych czasów, mimo lat komunizmu – mimo wszystkiego tego, co działo się

także i w ciągu ostatnich 30 lat, Polska zwycięża. Zwycięża dziś tutaj na Mierzei Wiślanej”. A potem z zacięciem syna profesora AGH wyłuszcza istotę rzeczy: „Od tego, by odbierać towar z największych statków, mamy inne porty. Chodziło o to także, by symbolicznie ta droga była otwarta, by nie trzeba było pytać o zgodę kraju, który nie jest nam przyjazny”.

Symboliczny cukiereczek za miliardy złotych. Jedyńm istotnym akcentem tej propagandowej szopki był brak gwiazd discopolowych na koncercie uświetniającym przekopanie kanału donikąd (statki i tak nie mogą tam dopłynąć, zostawiono kilometr niepogłębionej przestrzeni) – śmiała decyzja następcy Jacka Kurskiego na stołku szefa TVP.

Jak nie idzie, to nie idzie. Deszcz w oczy, deszcz na ławeczki patriotyczne, które rozstawiono w całej Polsce, a wymalowano w barwy rosyjskiej flagi. Każda kosztowała 100 tys. zł wyrzuconych we wrześnie błota, a teraz, jedna po drugiej, pękają, farba, niechlujnie położona, złaży, sklejka się rozkleja, symbol niknie i zmierza ku swojej nicości. Tak to już jest z symbolami, które zastępują całą ciężką pracę, której nie ma kto wykonywać. Baczność, spocznij, już czas na długie spodnie. ■

Głód się nasila, chory system zyskuje

Dlaczego tak wielu ludzi na świecie nie ma co jeść

Jan Opielka

Głośnie i ostre były słowa polityków Unii Europejskiej po zablokowaniu przez Rosję transportu zbóż z ukraińskich portów morskich. Na czerwcowym szczycie UE premier Mateusz Morawiecki mówił: „Putin chce doprowadzić do głodu. Kreml chce wywołać głód w północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie. Chce doprowadzić do wielkiej fali migracji”. Kanclerz Niemiec Olaf Scholz powiedział nieco później: „Zagrożenie światowym kryzysem głodowym zależy od Rosji, wynika z wojny Putina”. A przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen dodała z mocą: „Żywność stała się częścią arsenału terrorystycznego Kremla”.

Trudno o bardziej zero-jedynkowe odwracanie uwagi od systemowych powodów głodu, podszyte chwytnym wątkiem moralnym. Bo głód był obecny w wielu częściach świata już przed 24 lutego 2022 r., i to od dziesięcioleci, bynajmniej nie z powodu Rosji. Teraz kryzys jedynie się zaostrza, a Rosja swoimi działaniami może go łatwo podsycać, wykorzystując słabe punkty i błędy systemowe światowej gospodarki żywnościowej.

Niewidzialny głód

Jeszcze przed wojną niedożywienie – które nie prowadzi bezpośrednio do śmierci – dotyczyło ok. 2 mld ludzi, czyli co czwartego mieszkańca ziemi. Szwajcarski socjolog, były polityk i światowej sławy krytyk globalizacji, Jean Ziegler, nazwał to „niewidzialnym głodem”. Mało widoczny był i jest choćby fakt, że niedostateczne spożycie

żelaza to problem (długo przed wojną) 1,8 mld ludzi. Szczególnie cierpią na jego brak kobiety w ciąży, niedobór żelaza jest najczęstszą przyczyną śmiertelności niemowląt. Niewidoczny jest też fakt, że niedobór jodu, cynku i witaminy A w diecie powoduje śmierć ok. 800 tys. dzieci rocznie. Albo że wśród umierających z głodu są głównie dzieci, które nie ukończyły piątego roku życia.

Argentyński dziennikarz i pisarz Martín Caparrós opublikował w 2015 r. bestseller „Głód”. Na ponad 800 stronach skrupulatnie opisuje przyczyny głodu, ukazuje dramat dotkniętych nim osób i to, jak wstrząsnęło nim zetknięcie się z głodem w różnych

Nie ma w zasadzie „kryzysu żywnościowego”, tylko jest „kryzys cen żywności”, spowodowany m.in. rozregulowanymi rynkami finansowymi.

częściach świata. „Jeśli zabierasz się do lektury tej książki i przeczytasz ją w ciągu, dajmy na to, ośmiu godzin, w tym czasie umrze z głodu 8 tys. ludzi. To dużo: 8 tys. Jeśli tego nie zrobisz, ludzie umrą i tak, ale będziesz miał to szczęście, że się o tym nie dowiesz”.

Wymykający się dziś spod kontroli problem żywnościowy sięga głębiej, to nie wyłącznie kwestia zakłócenia eksportu zbóż z Ukrainy i Rosji. 20-25 mln ton zbóż, których eksport został tymczasowo zablokowany, to mniej niż 1% rocznej światowej produkcji – w sumie na świecie w zeszłym roku wyprodukowano ok. 3 mld ton zbóż (ryżu, pszenicy, kukurydzy, prosa, żyta, owsa i jęczmienia). Ceny zbóż na rynkach światowych wzrosły do czerwca br. o ponad 60% w porównaniu z latami 2014-2016.

W przededniu wojny tona pszenicy kosztowała ok. 270 euro, w czerwcu już ponad 400 euro, aby pod koniec sierpnia spaść do 320 euro.

Jak wytłumaczyć drastyczny wzrost i wahania cen zbóż na rynkach, skoro chodzi o ułamek rocznej produkcji światowej? Prof. Elżbieta Mączyńska, prezes honorowa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego (PTE), w wywiadzie dla PRZEGLĄDU wskazała, gdzie szukać odpowiedzi: „Dzisiaj zachodni eksperci i publicyści zwracają uwagę na Ukrainę i niszczenie spichlerza Europy. Podkreślają, że przez blokadę portów i działania wojenne nie będzie można tą drogą eksportować zbiorów

pszenicy (...). I to prawda, ale czy wcześniej te bogate kraje nie narzucały niekorzystnych warunków rolnikom w biedniejszych krajach? Czy nie tworzyły przewagi same dla siebie za pomocą różnych kwot importowych i ceł? Czy nie pozwoliliśmy wielkim firmom zniszczyć małych, rodzinnych gospodarstw?”.

Istotnie, głód na świecie wiąże się z faktem, że rynek handlu podstawowymi produktami żywnościowymi od lat 90. był sukcesywnie liberalizowany – a w wielu częściach świata ludzi po prostu nie stać na rosnące w związku z tym ceny. Socjolog i filmowiec Rupert Russell w głośniejszej książce „Price Wars” (Wojny cenowe) argumentuje, że faktycznie w ostatnich 15 latach na świecie nie brakowało żywności – wręcz przeciwnie. Nie ma zatem w zasadzie



„kryzysu żywnościowego”, pisze Russell, tylko jest „kryzys cen żywności”, spowodowany m.in. rozregulowanymi rynkami finansowymi.

Spekulanci

Popatrzmy wstecz: jeszcze do początku lat 2000 w USA giełdowy handel podstawowymi produktami rolnymi był znacząco uregulowany i reglamentowany – a handlowali w większości branżowcy. Administracja prezydenta Billa Clintona w 2000 r. zliberalizowała ten handel ustawą Commodity Futures Modernization Act (CFMA). Na CBOT w Chicago, najważniejszej na świecie giełdzie produktów rolnych, odsetek firm branżowych, które faktycznie obracają zbożami, spadł z 88% w 1996 r. do 35% w 2008 r. W ciągu zaledwie kilkunastu lat 65% kontraktów na zboża stało się przedmiotem obrotu spekulantów finansowych, kupujących i zbywających wyłącznie kontrakty *futures*. Fizyczny towar ich nie interesuje. Efekt? Podczas gdy w dziesięcioleciach przed liberalizacją ceny zboż były względnie stabilne, w 2008 r. po raz pierwszy spekulanci niebranżowi i kapitał finansowy doprowadzili do gwałtownego wzrostu cen zboż i zaostrzyli sytuację kryzysową w biednych krajach świata. „W rządach państw G7 siedzą tylko

chłopcy na posyłki wielkich korporacji – mówił w 2015 r. Jean Ziegler. – Cała władza leży w rękach korporacji, nie w rękach wybranych rządów. One nie mają władzy, aby przeprowadzić reformy strukturalne i zniszczyć mordercze mechanizmy generujące głód: nadmierne zadłużanie się biednych państw, dumping cenowy w UE dotyczący rynku rolnego, spekulacje giełdowe na podstawowe produkty rolne oraz grabież ziemi w krajach Trzeciego Świata przez fundusze i wielkie korporacje”.

Rynek handlu podstawowymi produktami od lat 90. był liberalizowany – a w wielu częściach świata ludzi nie stać na rosnące w związku z tym ceny.

Światowa produkcja, obrót i handel zbożami zdominowane są obecnie przez kilka potężnych korporacji – Archer Daniels Midland, Bunge, Cargill, Louis Dreyfus – które w ostatnich latach generowały rekordowe zyski. Weźmy Cargill, ta jedna z największych na świecie firm zajmujących się handlem i przetwórstwem żywności odnotowała w bieżącym roku obrotowy rekordowy zysk i rekordowe obroty w wysokości 165 mld dol. (ok. 700 mld zł) – to wzrost o 23% w stosunku do roku poprzedniego. Według niemieckiej

organizacji pozarządowej FIAN, która promuje żywność jako prawo człowieka, korporacje takie jak Cargill same gromadzą w magazynach zboża w celach spekulacyjnych, choć nie wiadomo ile. Jak pokazuje kwerenda organizacji pozarządowej Lighthouse Reports „The Hunger Profiteers”, już krótko przed wybuchem wojny w Ukrainie spekulacja na rosnące ceny żywności nabrała tempa.

Dlaczego więc tak wielu ludzi na świecie nie ma co jeść? Według Martina Caparrósa od lat pojawia się „mnóstwo życzliwie nastawionych opracowań, (...) rozpoczynających się zwykle od śmiałego stwierdzenia, że główną przyczyną głodu na świecie jest ubóstwo. Wydaje się to logiczne, niemal oczywiste. Niemniej jednak jest to retoryczna mistyfikacja w czystej postaci. (...) Główną przyczyną głodu w świecie jest bogactwo, fakt, że nieliczni zagarniają dla siebie to, czego potrzebuje wielu, w tym żywność”. Możemy o tym się przekonać w dowolnym większym sklepie spożywczym, jeśli namierzmy wszystkie zbędne czy śmieciowe produkty, które zawierają składniki podstawowych produktów rolnych: zbóż, mleka, olejów itd. Jeszcze bardziej wątpliwą sferą korzystania z (bez)cennych zasobów i plonów ziemi są tzw. biopaliwa – w minionym roku globalna produkcja biopaliw wyniosła ekwi-

walent ok. 1,7 mln baryłek ropy naftowej dziennie, czyli 600 mln ton rocznie. Według szacunków spalone na świecie biopaliwa to odpowiednik potrzebnego rocznego spożycia kalorii dla 1,9 mld dorosłych.

Mięso i degradacja

Jednak bodaj najbardziej wątpliwe „zagarnianie”, o którym pisze Caparrós, dotyczy mięsa. Co roku na świecie hoduje się ok. 70 mld zwierząt (to głównie drób, krowy i świnie) na nasze potrzeby. Całkowita ▶

► powierzchnia użytków rolnych na świecie wynosi ok. 50 mln km kw., to mniej więcej tyle, ile kontynenty Afryka i Ameryka Południowa razem wzięte. Powierzchnia wykorzystywana pod uprawę pasz dla zwierząt oraz pastwiska stanowi dwie trzecie tego obszaru, czyli ok. 33 mln km kw. – to symbolicznie cała Afryka. Również w UE ze 105 mln ha gruntów rolnych prawie dwie trzecie, czyli 66 mln ha, wykorzystuje się pod uprawę pasz dla zwierząt. Do produkcji kilograma wołowiny potrzeba od 3,9 do 9,4 kg paszy, np. w postaci soi i innych zbóż. Do tego dochodzi 15,4 tys. litrów wody zużytej na kilogram (sześć razy więcej niż w przypadku roślin strączkowych), powierzchnia użytkowa 27-49 m kw. oraz emisja 20 kg ekwiwalentu dwutlenku węgla, głównie metanu. Większość mięsa spożywana jest... w bogatych krajach Zachodu.

Poważna redukcja upraw pod paszę w zamian za uprawy zbóż do bezpośredniego spożycia przez człowieka znacząco przyczyniłaby się do poprawy sytuacji żywnościowej na świecie – dzięki zwolnionym polom i malejącym cenom zbóż. Zachodni poziom

czynników, głównym winowajcą jest nienasycony popyt na paszę w fermach przemysłowych”.

Pozostaje pytanie, w jaki sposób kraje bogatego Zachodu i Północy są w stanie narzucać swój interes państwu słabszym. Kraje globalnego Południa (niegdyś Trzeci Świat), biedne i rozwijające się, są uzależnione od importów żywności w dużej mierze dlatego, że wskutek zadłużenia zostały zmuszone do otwarcia rynków na dotowane produkty rolne z Europy i USA, które wyparły lokalną produkcję. Aby zrozumieć źródła tego zadłużenia, trzeba spojrzeć kilkadziesiąt lat wstecz.

Większość krajów w Afryce do lat 60. XX w. była koloniami wyzyskiwanymi przez mocarstwa kolonialne, takie jak Wielka Brytania, Francja, Portugalia, Holandia, Belgia, do 1918 r. także Niemcy. Kolonizowane kraje traktowano jako źródło surowców, po części też jako rynek zbytu dla własnej nadprodukcji. Po uzyskaniu przez byłe kolonie w latach 50. i 60. niepodległości Zachód nie wspierał w nich budowy nowoczesnych gospodarek i demokracji. Wspierał własny interes – w bezwzględny sposób.

w większości na skutek załamania się produkcji żywności i służby zdrowia. Dziś Kongo jest w dużej mierze eksploatowane przez zachodnie i chińskie korporacje, konkurujące choćby o zasoby kobaltu – połowa złóż tego surowca, niezbędnego do produkcji baterii i akumulatorów, znajduje się w Kongu – czy koltanu, nieodzownego przy produkcji urządzeń elektronicznych i smartfonów. W 2019 r. Kongo doświadczyło drugiego najpoważniejszego kryzysu żywnościowego na świecie, ok. 15,6 mln osób cierpiało wówczas z powodu braku bezpieczeństwa żywnościowego. Śmiertelność niemowląt i opóźnienie wzrostu u dzieci są nadal wysokie. Ogromna liczba ludności – 72% 90-milionowej populacji – żyje w ubóstwie.

Eksperyment kolonialny

To tylko jeden z przykładów. Kraje takie jak Kongo żyły i żyją z surowców, więc w wydobywaniu czy uprawie rządy tych krajów inwestowały od lat 60. – za pomocą zagranicznych kredytów. Musiały się zapożyczać w amerykańskich dolarach. W 1973 r. nadszedł kryzys naftowy, eksplodujące ceny ropy i stagflacja. Gdy bank narodowy USA (Federal Reserve, Fed) na przełomie lat 70. i 80. radykalnie podniósł stopy procentowe (czasowo do ponad 20%), zadłużone w dolarach kraje globalnego Południa popadły w głęboki kryzys, nie mogąc obsłużyć kredytów. Efektem były tzw. strukturalne programy dostosowawcze (Structural Adjustment Programmes, SAP), dyktowane dłużnikom przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) i Bank Światowy, oba zdominowane przez USA i inne kraje Zachodu.

W ramach tych programów strukturalnych faktycznie zmuszono kraje, głównie w Afryce i Ameryce Południowej, do cięcia kosztów publicznych, otwarcia rynków dla zagranicznych (subsydiowanych) produktów rolnych i dla zagranicznych inwestycji oraz do prywatyzacji. Jednocześnie jako lekarstwo zaaplikowano przekształcenie produkcji rolnej w eksport tzw. *cash crops*,

Główną przyczyną głodu jest bogactwo, fakt, że nieliczni zagarniają dla siebie to, czego potrzebuje wielu, w tym żywność.

konsumpcji żywności, zwłaszcza mięsa, w dużej mierze przyczynia się także do faktycznej rekolonizacji krajów, które już niegdyś były koloniami, i degradacji zasobów naturalnych. „Rosnąca populacja, urbanizacja i erozja pochłaniają żywe ziemie w zaskakującym tempie”, piszą Philip Lymbery i Isabel Oakeshott w książce „Farmagedon. Rzeczywisty koszt taniego mięsa”. „W większości grunty te znajdują się w Afryce i Ameryce Łacińskiej, co oznacza, że aby zrobić miejsce, flora i fauna zostaną prawdopodobnie staranowane. W rezultacie dochodzi do globalnego zagrabienia ziem na olbrzymią skalę. To XXI-wieczny odpowiednik wyścigu o Afrykę za panowania królowej Wiktorii. Choć napędza go wiele

Dobrym, a raczej tragicznym przykładem jest dzisiejsza Demokratyczna Republika Konga. Ten wielki (osiem razy większy niż Polska) kraj w środkowej części Afryki, przez dziesięciolecia brutalnie wykorzystywany jako belgijska kolonia, uzyskał niepodległość w 1960 r. Zarówno Belgia, jak i USA za pomocą swoich służb specjalnych przyczyniły się do obalenia demokratycznie wybranych rządów, zamordowania charyzmatycznego lidera Patrice’a Lumumby, później do umocnienia dyktatury pod rządami Mobutu Sese Seko, drenującego swój kraj (Zair) w pełnej zgodzie z państwami Zachodu. Krótco przed śmiercią Mobutu w 1997 r. Zair wpadł w spiralę wojen domowych, które do 2003 r. pochłonęły co najmniej 3 mln ofiar,

tj. surowców potrzebnych w krajach Zachodu (kawa, kakao, kwiaty itd.). „W wielu krajach polityka MFW i Banku Światowego obejmowała także eliminowanie subsydiowanych produktów żywnościowych oraz likwidację mechanizmów regulujących ceny wewnętrzne, opartych na uruchamianiu rezerw zboża i innej żywności – pisze Caparrós. – W przypadku takich krajów jak Niger przyniosło to bezpośredni rezultat: po prostu i zwyczajnie doprowadziło do śmierci głodowej tysięcy ludzi”. Główne zasady tej

żadnej wartości. Kiedyś mieszkaliśmy w lasach, zbieraliśmy miód, polowaliśmy na aligatory, iguany i ryby, a także uprawialiśmy warzywa i bawełnę. Nie chcemy jałmużny, lecz uznania naszych praw”, mówi Abel Paredes, jeden z przedstawicieli ludności Qom.

Głód „częścią arsenału terrorystycznego Kremla”?

Nie tylko na lądzie, lecz również na wodzie zachodni kolonializm nie ustął – i powoduje niewidoczny dla

rybacy i ich rodziny uciekają do Europy – a tysiące z nich giną na Morzu Śródziemnym.

Wojna przykrywa niemal wszystko, czyni świat czarno-białym. Choć nie do końca wojna, to raczej kwestia naszego punktu widzenia i ignorancji. „Musimy przemysśleć naszą perspektywę na żywność – nie patrzeć na nią jak na towar, który należy dobrze sprzedać, tylko jak na prawo każdego człowieka”, powiedział w zeszłym roku sekretarz generalny ONZ António Guterres na pierwszym szczycie dotyczącym systemów żywnościowych. Światowy Program Żywnościowy (WFP) z ramienia ONZ deklaruje, że potrzeba mu w tym roku 24 mld dol., aby pomóc 153 mln ludzi w największej potrzebie. 24 mld dol. to ok. 0,02% światowego PKB, sięgającego niemal 100 bln dol. W ostatnich latach WFP nigdy nie uzbierał tych środków, a pomoc programu w 80% idzie na ostre sytuacje kryzysowe, nie zaś na mniej widoczne, średnio- czy długoterminowe wsparcie rozwojowe.

Tymczasem długofalowo kraje te nie potrzebują jałmużny i dobroczynności, tylko sprawiedliwych relacji handlowych. Lub krócej: sprawiedliwości zamiast dobroczynności.

Jan Opiełka

Kraje ubogie potrzebują sprawiedliwości zamiast dobroczynności.

polityki MFW i Banku Światowego znane są jako konsensus waszyngtoński. Polska w ramach tzw. terapii szokowej na początku lat 90. również odczuła efekty niektórych jej elementów: otwarcie rynku, dziką prywatyzację, wycofanie państwa, cięcia socjalne.

Na dodatek w wielu biednych krajach świata do dziś panuje niemal bezprawie w przywłaszczaniu gruntów rolnych lub „inwestowaniu” w nie – lokalni rolnicy są wywłaszczani, często brutalnie wypędzani, niejednokrotnie mordowani, a na ich polach powstają wielkie plantacje monokultur przeznaczonych na eksport: palmy olejowej, bananów, soi. Ten proces, znany jako *land grabbing* (grabież ziemi), od początku lat 2000 nasilił się głównie z powodu nowych dotacji dla biopaliw w USA i Europie, znacznego wzrostu cen podstawowych artykułów spożywczych od 2008 r. oraz wzrostu konsumpcji mięsa na świecie.

Procesy tego wywłaszczania opisują Philip Lymbery i Isabel Oakeshott w książce „Farmagedon”, choćby na przykładzie Indian Qom, którzy stracili grunty zamieszkiwane i uprawiane od setek lat przez ich przodków na rzecz wielkiej korporacji produkującej soję. „Kilka lat temu pewna międzynarodowa firma kupiła naszą ziemię. Władze prowincji sprzedały ją razem z nami, bo tak się złożyło, że akurat tam mieszkaliśmy. Oczywiście nie mieliśmy

nas głód. Zachodnie, ale i chińskie korporacje przemysłowego rybołówstwa wyławiają ryby milionom rybaków na wybrzeżach Afryki. Ryby te w dużej części przerabiane są na mączkę – do hodowli innych zwierząt czy łososi. Dokument „Stolen Fish. Kiedy zabraknie ryb” w reżyserii Małgorzaty Juszcak pokazuje to poprzez sytuację rybaków z Gambii. „Gdy te łodzie płyną, zgarniają wszystko, co stoi na ich drodze, bo ich sieci sięgają samego dna”, mówi Saine, jeden z bohaterów filmu. Zubożali i głodujący



www.wydawnictwomg.pl

Marsz ku katastrofie

USA nałożyły na Rosję potężne sankcje, choć w rzeczywistości bardziej szkodliwe dla Zachodu niż dla Rosji

Rozmawia Mike Billington

2 sierpnia 2022 r. na stronie internetowej polityczno-ekonomicznego think tanku Instytut Schillera ukazał się wywiad z Chasem W. Freemanem Jr., przeprowadzony przez Mike'a Billingtona. Freeman to wybitny amerykański dyplomata i pisarz. Najważniejsze pozycje w jego dorobku to „Arts of Power” (Sztuka rządzenia), „Interesting Times. China, America, and the Shifting Balance of Prestige” (Ciekawe czasy. Chiny, Ameryka i zmieniająca się równowaga prestiżu) oraz „America's Continuing Misadventures in the Middle East” (Ciągłe nieszczęścia Ameryki na Bliskim Wschodzie). Freeman pozostaje jednym z najlepszych znawców Chin w Stanach Zjednoczonych. Był głównym tłumaczem prezydenta Richarda Nixona podczas jego wizyty w Państwie Środka w 1972 r. Sprawował także funkcję ambasadora USA w Arabii Saudyjskiej w latach 1989-1992, czyli w burzliwym okresie wojny w Zatoce Perskiej.

Nie ulega wątpliwości, że realistyczne spojrzenie na politykę zagraniczną, które Freeman odważnie prezentuje, różni się z poglądami amerykańskiego establishmentu. Zmusza to Freemana do wypowiadania nieraz bardzo ostrej krytyki poczynąń Waszyngtonu. Widać to wyraźnie we fragmentach prezentowanego wywiadu.

W poprzednio udzielonym nam wywiadzie – było to przed 24 lutego – powiedział pan, że jeśli Rosja wejdzie do Ukrainy (...), Chiny mogą to wykorzystać do siłowego zjednoczenia kraju [poprzez siłowe przyłączenie Tajwanu – P.K.] (...).

– Myślę, że kwestie Ukrainy i Tajwanu mają ze sobą coś wspólnego o tyle, że zasadnicza nauka, którą winniśmy sobie przyswoić z wypadków w Ukrainie, brzmi:



CHAS W. FREEMAN JR.

jeśli pozostajesz głuchy na dobitnie wyrażony przez wielkie mocarstwo sprzeciw wobec twoich działań, bierzesz na siebie ryzyko i sprowadzasz niebezpieczeństwo także na tych, których rzekomo chronisz. Rosja została sprowokowana do tego, co zrobiła w Ukrainie, choć to jej nie usprawiedliwia. Jej działanie jest nieusprawiedliwione, ale było

zajęcia się kwestią morale oddziałów, czyli wyjaśnienia żołnierzom, w jakim celu zostali wysłani. Była to więc raptowna decyzja, podjęta prawdopodobnie w ostatniej chwili pod wpływem fiaska wysiłków Rosjan, aby wynegocjować porozumienie co do rozszerzania NATO oraz co do Ukrainy. Te wysiłki zostały odrzucone przez Stany Zjednoczone.

Chiny są jedynym przykładem przednowoczesnego społeczeństwa, które zdołało ostać się przez tysiąclecia.

sprowokowane. Podobny scenariusz może się zrealizować w przypadku Tajwanu. Chińczycy jednakże nie będą działać tak porywczo jak Władimir Putin. Nakazał on oddziałom przekroczenie granicy bez wcześniejszego poinformowania generałów o swoich zamiarach, bez przygotowania wsparcia logistycznego inwazji i bez

Co do Tajwanu, to minęły już dekady, odkąd Chińczycy zaczęli przygotowywać się na poważnie do militarnego starcia z wyspą. Chodzi o połowę lat 90., kiedy to USA złamały umowę z Chinami i pozwoliły ówczesnemu prezydentowi Lee Teng-hui odwiedzić Amerykę. (...) Istnieje zatem niebezpieczeństwo, że

Chińczycy podwoją wysiłki i podejmą stanowczą decyzję o użyciu siły przeciwko Tajwanowi. Nie znaczy to, że zrobią to natychmiast. Nie zrobią tego dopóty, dopóki nie będą pewni, że są gotowi i mogą wygrać. Zakładają oni, że USA staną im na drodze, bez względu na to, czy tak rzeczywiście będzie, czy nie. Taki jest ich plan. To nie jest historia, która zaczęła się wczoraj, i nie skończy się jutro.

Chińczycy mają zatem problem. Jeśli nie zrobią czegoś, co podniesie ciśnienie, osłabi się ich wojskowa presja na Tajwan. W moim przekonaniu nie mają tu wielkiego wyboru.

(...) Czy Chiny są potworem?

– W żadnym wypadku. Istnieją od 4 czy 5 tys. lat. Tak naprawdę są jedynym przykładem przednowoczesnego społeczeństwa, które zdołało

robi tak niewiele, jak to tylko możliwe. Thomas Jefferson stwierdził, że „najlepszym rządem jest ten, który rządzi jak najmniej”. Żaden Chińczyk nigdy by tak nie powiedział. Mamy zatem do czynienia ze zderzeniem ideologii, teorii politycznej, kultury politycznej, które jest wpisane w naturę relacji chińsko-amerykańskich. (...) Powoduje to wiele nieporozumień pomiędzy tymi krajami oraz to, że niektórzy Amerykanie postrzegają Chiny jako przekleństwo.

USA nałożyły na Rosję potężne sankcje, choć, jak się okazuje, w rzeczy-

wistości są one bardziej szkodliwe dla Zachodu niż dla Rosji. Wydaje się jednak, że coś drgnęło w tej kwestii. Ameryka zgodziła się na umowę pomiędzy Rosją a Ukrainą dotyczącą eksportu zboża. Wstrzymała sankcje na transport do Kaliningradu. Antony Blinken zadzwonił do Siergieja Ławrowa (...). Czy sądzi pan, że Stany Zjednoczone mogą ustąpić, znieść sankcje w stosunku do Rosji i negocjować z Rosją i Chinami?

– Sądząc na podstawie innych przykładów, odpowiedź brzmi: nie. (...) Sankcje to niemal nieprzerwany spis porażek, nieosiągnięcia

Chińczycy chcą silnego rządu, zdolnego wziąć odpowiedzialność za utrzymanie porządku i zapewnienie dobrobytu chińskim rodzinom.

Wskazał pan przyjęte w 2005 r. prawo antysecesyjne jako określające moment, kiedy Pekin rozważyłby użycie siły w celu zjednoczenia Chin. Jeden z zawartych tam warunków mówi o sytuacji, kiedy „wyczerpią się wszystkie możliwości pokojowego zjednoczenia”. Czy pana zdaniem warunek ten nie został właśnie spełniony?

– O tym muszą zdecydować Chińczycy. Wielu ludzi w Pekinie, jak mnie, uważa, że warunek ten został spełniony, co czyni całą sytuację szalenie niebezpieczną.

Jest jasne, że Tajwan zostałby całkowicie zniszczony, gdyby doszło do wojny między USA a Chinami, bez względu na to, kto by wygrał, o ile o jakiegokolwiek wygranej może być tu mowa. Czy z perspektywy samych mieszkańców Tajwanu nie jest to wystarczający argument, aby starali się zapobiec takiemu nieszczęściu, takiej destrukcji, jaką widzimy w Ukrainie?

– Jednym z problemów, przed którymi staje Pekin, jest to, że tak często uderzał w wysokie tony, tak często ostrzegał Tajwan, że obecnie te ostrzeżenia nie są traktowane zbyt poważnie. Wielu ludzi na Tajwanie po prostu nie potrafi sobie wyobrazić, że mogłoby dojść do wznowienia chińskiej wojny domowej. Nie tak dawno jednak w Cieśninie Tajwańskiej trwały walki powietrzne i ostrzał artyleryjski pomiędzy kontynentem a wyspą. Skończyło się to 1 stycznia 1979 r., kiedy doszło do normalizacji stosunków pomiędzy USA a Chinami.

ostać się przez tysiąclecia. Z drugiej strony Chiny funkcjonują w radykalnie odmiennych warunkach aniżeli USA. Mają 14 granic lądowych, granice morskie z Japonią, Koreą Południową i Tajwanem, pokonanym w niedokończonej wojnie domowej. No i oczywiście amerykańska 7. Flota znajduje się u chińskich wybrzeży. USA codziennie co najmniej dwa lub trzy razy patrolują morskie granice Chin, co moim zdaniem tłumaczy, dlaczego Chińczycy reagują coraz gwałtowniej. Chiny stawiają czoła także innym wyzwaniom. Mają około jednej trzeciej gruntów ornych Stanów Zjednoczonych i znacznie mniej

Sankcje to niemal nieprzerwany spis porażek, nieosiągnięcia politycznych rezultatów, do których miały doprowadzić, czyli zmiany polityki.

wody, ale czterokrotnie większą populację, która musi się wyżywić tymi skromnymi zasobami. Są największym producentem żywności na świecie. Bardzo wydajnym, mimo to zawsze balansującym na krawędzi. Historia Chin pełna jest przykładów masowej śmierci z głodu, politycznych przewrotów, obcych najazdów. Chińczycy doszli zatem do przekonania, że chcą skutecznego rządu. Chcą rządu silnego, zdolnego wziąć odpowiedzialność za utrzymanie porządku i zapewnienie dobrobytu chińskim rodzinom. W Stanach zaś istnieje tak wielkie pole do popełniania błędów politycznych, że pragniemy rządu, który nic nie robi. Albo

politycznych rezultatów, do których miały doprowadzić, czyli zmiany polityki. W tym przypadku polityki rosyjskiej. Są jednocześnie zapisem ogromnych szkód ubocznych. W chwili obecnej sankcje nałożone przez Zachód bez, jak sądzę, dostatecznego zastanowienia się nad szkodami ubocznymi (...) skutkują radykalną przebudową światowego rynku energii, co nie było zamierzone.

Wprowadziłbym jednak poprawkę do pana pytania. Umowa zbożowa doszła do skutku za sprawą ONZ, z pomocą Turcji. USA i inni nie byli w ten proces zaangażowani. Rosja wyraziła na nią zgodę. ▶

► W rzeczywistości Rosja konsekwentnie oferowała drogę przez blokadę ukraińskich portów dla dostaw żywności. Problem z tymi dostawami zaczął się nie od blokady, ale od tego, że Ukraińcy roztropnie zaminowali swoje własne porty, aby uniemożliwić Rosjanom wejście do nich. W chwili, gdy to zrobili, firmy ubezpieczeniowe anulowały polisy statkom, które znajdowały się w portach, próbowały do nich wejść lub je opuścić. W ten sposób handel zamarł. Bez względu więc na to, czy była, czy istnieje obecnie rosyjska blokada, pierwsza rzecz, która musi się wydarzyć, to rozminowanie. Zakładam, że dokonano tego przynajmniej w jednym porcie, aby umożliwić wypłynięcie statku. Powstaje oczywiście pytanie, czy ten statek kiedykolwiek powróci po kolejny ładunek zboża. To jest strefa

wojenna. Statki, które tam utknęły, nie chcą wracać i utknąć ponownie. Nie ma pewności, że tak się nie stanie, a przemierzanie pola minowego jest z natury niebezpieczne, bez względu na to, jak sprawna jest załoga. Mamy zatem do czynienia

Ogólna reakcja na arenie międzynarodowej i w moim własnym kraju, Stanach Zjednoczonych, to przygnębienie, poczucie niemocy i frustracji.

z bardzo niepewnym porozumieniem osiągniętym nie przez Zachód z Rosją, lecz przez ONZ w imieniu globalnego Południa, za pośrednictwem Turcji, i niechętnie przyjętym przez Ukrainę.

Ukraińskie Centrum Przeciwdziałania Dezinformacji, finansowane przez państwa NATO, opubliko-

wało niedawno listę 78 osobistości o międzynarodowej renomie, określając je mianem rosyjskich agentów propagandy. Ogłosiło ono, że są „informacyjnymi terrorystami” i „przestępcami wojennymi”. 30 spośród tych 78 osób zabierało

głos na konferencjach organizowanych przez Instytut Schillera. Pan również przemawiał na konferencjach instytutu. Co pan sądzi na temat tej listy?

– Jest ona znakiem czasów. Jeśli nie masz poważnych argumentów, uciekasz się do oczerniania tych, którzy z tobą się nie zgadzają. To zaprzeczenie idei wolności słowa, zasadniczej dla zachodniej demokracji. Jest to godne potępienia.

(...) Ludzie na całym świecie dostrzegają ogromne niebezpieczeństwo kryzysu strategicznego prowadzącego do wojny, być może nuklearnej, odczuwają też skutki kryzysu gospodarczego. Czy odnosi pan wrażenie, że obywatele na całym świecie na to reagują? Czy mają dość motywacji, aby wymusić zmianę idącą w stronę zdrowego rozsądku?

– (...) Z przykrością stwierdzam, że ogólna reakcja na arenie międzynarodowej i w moim własnym kraju, Stanach Zjednoczonych, to przygnębienie, poczucie niemocy i frustracji. Zupełnie jakby rozgrywała się tragedia grecka. Wszyscy widzą, dokąd to zmierza, bohaterowie jednak kontynuują marsz, głuś na przestrogi chóru. Jest to więc moment, w którym ludzie rzeczywiście powinni wyrazić sprzeciw wobec działań, które niepotrzebnie grożą wybuchem wojny, być może nuklearnej. A z pewnością, jak pan wcześniej zauważył, zniszczeniem zarówno tajwańskiej demokracji, jak i dobrobytu wyspy. Chciałbym móc powiedzieć, że widzę skuteczną, powszechną reakcję na stojące przed nami niebezpieczeństwa, ale jej nie dostrzegam.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla



Religie a nacjonalizmy 2022

30 września, piątek, godz. 18, Pałac Potockich, Rynek Główny 20

Obrażanie uczuć religijnych. Wina i kara

Goście: Joanna Scheuring-Wielgus – posłanka na Sejm; mec. Marcin Pawelec-Jakowiecki; Rafał Betlejewski – dziennikarz. Prowadzenie: Darek Kędziora – Koalicja Ateistyczna

Wydarzenie współorganizowane przez Krakowskie Biuro Festiwalowe

1 października, sobota, godz. 11, Pałac Potockich, Rynek Główny 20

Religie wobec nacjonalizmów w XXI wieku

Goście: dr hab. Magdalena Mikołajczyk – Uniwersytet Wrocławski; Edwin Bendyk – Fundacja Batorego; dr Marcin Galent – Uniwersytet Jagielloński. Prowadzenie: Adam Jaśkow (SWOR)

Wydarzenie współorganizowane przez Krakowskie Biuro Festiwalowe

Manifestacja Świeckości

godz. 14, Rynek Główny, Wieża Ratuszowa

Humanizm jako remedium na nacjonalizm

godz. 17, Krzysztofory, Sala Miedziana, ul. Szczepańska 2

Goście: prof. dr. hab. Janusz Mucha – socjolog; Roman Kurkiewicz – tygodnik „Przegląd”; dr Magdalena Gawin – Uniwersytet Warszawski. Prowadzenie: Andrzej Dominiczak

Dni Świeckości co roku odbywają się dzięki zaangażowaniu członków Stowarzyszenia Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej oraz dzięki wpłatom na specjalny fundusz celowy na konto stowarzyszenia **79 1950 0001 2006 8866 9380 0002 – Dni Świeckości**

Organizatorzy:



Partnerzy:



Patronat medialny:



Jak walczyć z ubóstwem emerytalnym

OPZZ chce zagwarantować Polkom i Polakom godną emeryturę

Katarzyna Duda

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, równoległe z działaniami na rzecz godnej pracy i płacy, dąży do zagwarantowania Polkom i Polakom godnej emerytury po zakończeniu aktywności zawodowej.



Kolejnym rozwiązaniem, które dodatkowo wpłynęłoby na sytuację materialną emerytów, byłoby wprowadzenie dodatkowych emerytur dla wdów i wdowców. Obecnie kobieta po śmierci męża musi zdecydować, czy zachować swoją emeryturę, czy zrezygnować z niej i skorzystać z renty rodzinnej – 85% emerytury męża. OPZZ uważa, że wdowie lub wdowcowi pobierającemu świadczenie emerytalne powinno przysługiwać dodatkowo 50% emerytury zmarłego małżonka, co odczuwalnie poprawi sytuację materialną samotnych emerytów.

Oczekujemy systemowych rozwiązań

OPZZ od lat domaga się systemowych zmian na rzecz przeciwdziałania ubóstwu emerytów i rencistów, którego zasięg wzrósł znacząco podczas pandemii. W 2020 r. liczba Polaków żyjących poniżej minimum egzystencji sięgnęła niemal 2 mln osób, w tym 312 tys. seniorów. Liczba skrajnie ubogich seniorów w 2020 r. zwiększyła się o ok. 49 tys. w stosunku do poprzedniego roku.

W celu ochrony osób starszych przed ubóstwem emerytalnym OPZZ domaga się przede wszystkim zwiększenia proponowanego wskaźnika waloryzacji emerytur i rent. Biorąc pod uwagę potrzebę stałego zwiększania udziału emerytów i rencistów we wzroście gospodarczym i potrzebę zagwarantowania im odczuwalnej poprawy sytuacji finansowej, wskaźnik powinien wynosić nie mniej niż średnioroczny wskaźnik cen towarów i usług konsumpcyjnych dla

14. emerytura a „emerytury groszowe”

Gdy mowa o ubóstwie emerytalnym, nie można pominąć kwestii emerytur niższych niż najniższa ustawowa wysokość emerytury. Ich liczba rośnie systematycznie z roku na rok – w grudniu 2020 r. wypłacono ponad 310 tys. takich świadczeń, tj. prawie 19% więcej niż w grudniu 2019 r., a w grudniu 2021 r. wypłacono niemal 338 tys. emerytur w wysokości niższej niż minimalna, czyli prawie 9% więcej niż rok wcześniej. W ocenie OPZZ tzw. 14. emerytura, wypłacona po raz pierwszy w 2021 r., a po raz drugi w 2022 r., chociaż podejmuje próbę złagodzenia problemów finansowych osób otrzymujących niskie świadczenia emerytalne i rentowe, ma charakter incydentalny i w perspektywie długofalowej nie przyniesie oczekiwanych rezultatów. Świadczenie nie jest bowiem ujęte w projekcie budżetu na 2023 r. Nie jest ono trafną odpowiedzią na problem ubóstwa emerytalnego i na pewno nie rozwiąże problemu

„emerytur groszowych”, czyli świadczeń poniżej emerytury minimalnej (wynoszącej w 2022 r. 1338,64 zł brutto).

Z taką oceną zgadza się m.in. dr Tomasz Lasocki: „Postrzegam ten program jako rodzaj jednorazowej pomocy, działania filantropijnego. »Czternastka« może jedynie pomóc w rozwiązaniu doraźnych, jednorazowych problemów, np. potrzeby wymiany lodówki czy pralki. Może też pomóc w parokrotnym zakupie leków bądź żywności”. Aby powstrzymać tendencję zwiększania się liczby „emerytur groszowych”, należy przede wszystkim dążyć do tego, by składki na ubezpieczenia społeczne były odprowadzane od wszystkich umów-zleceń, a nie tylko do wysokości minimalnego wynagrodzenia za pracę, a także od umów o dzieło, oraz prowadzić działania na rzecz ograniczenia skali pracy nierejestrowanej. Konieczna jest ponadto skuteczna edukacja na temat systemu ubezpieczeń społecznych ze szczególnym naciskiem na wiedzę o systemie emerytalnym.

Konieczna jest skuteczna edukacja nt. systemu ubezpieczeń społecznych z naciskiem na wiedzę o systemie emerytalnym.

gospodarstw domowych emerytów i rencistów w 2020 r., zwiększony o co najmniej 50% realnego wzrostu przeciętnego wynagrodzenia za pracę w poprzednim roku. Opowiadamy się ponadto za tym, aby wprowadzić przepis obligujący rząd do tego, by świadczenia emerytalno-rentowe były waloryzowane nie raz w roku, ale dwukrotnie – w marcu i we wrześniu, jeśli inflacja w pierwszym półroczu będzie bardzo wysoka. Mechanizm dwukrotnej, warunkowej waloryzacji będzie stanowić dodatkową ochronę i zagwarantuje gospodarstwom emerytów i rencistów utrzymanie realnej wartości świadczeń w przypadku wysokiej inflacji.

Zwracamy ponadto uwagę na to, że Instytut Pracy i Spraw Socjalnych w swoich badaniach przyjął, że poziom wydatków, które są dolną granicą godziwego poziomu życia, wyznacza minimum socjalne (w 2022 r. wynosi ono 1310,46 zł). OPZZ proponuje, by minimum socjalne stało się podstawą do kształtowania minimalnej emerytury – świadczenie to nie powinno być niższe niż wysokość minimum socjalnego dla jednoosobowych gospodarstw emeryckich.

Katarzyna Duda jest specjalistką ds. polityki społecznej w OPZZ

W tej dziedzinie
USA są liderem,
ale w drugiej lidze
dzieją się ciekawe
rzeczy

USS Kearsarge imponuje
rozmiarami – ma 257 m
długości i 43 m szerokości.

Azja stawia na lotniskowce

Marcin Ogdowski

– Ech, gdyby mieć jeden taki – westchnął mężczyzna uzbrojony w aparat, po czym przystawił urządzenie do oka i zrobił serię zdjęć. A było co fotografować – 14 września, tuż po wschodzie słońca, w Gdyni zacumował największy okręt wojenny, jaki dotąd pojawił się w polskim porcie. Pokład USS Kearsarge zapchany był śmigłowcami i pionowzłotami (samolotami Harrier i zmiennowirnikowcami Osprey), prezentując siłę, o której wszystkie bałtyckie marynarki wojenne mogą tylko pomarzyć.

– Prawdziwy lotniskowiec mieć! Tobo dopiero było! – wtórował koledze inny spotter. Jego słowa nie wyrażały rozczarowania. Odnosiły się do wyglądu jednostki, laikowi przypominającej lotniskowiec, będącej zaś – wedle wojskowej nomenklatury – „uniwersalnym okrętem desantowym”.

Choć imponujący rozmiarami – 257 m długości i 43 m szerokości – USS Kearsarge to rzeczywiście inna liga. Najnowszy typ lotniskowca – Gerald R. Ford (tak też nazywa się pierwszy z okrętów) – ma 333 m długości i 77 m szerokości. Wypiera

100 tys. ton (Kearsarge „tylko” 41), a z jego pokładu może operować nawet 90 samolotów wielozadaniowych i śmigłowców. To mobilna baza wojskowa, zdolna dotrzeć w najdalsze zakątki globu. Dla Amerykanów lotniskowce są tak ważne, że konieczność ich posiadania zapisano w zbiorze praw federalnych – Kodeksie Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z zamieszczonymi tam wytycznymi USA muszą dysponować przynajmniej 11 okrętami. I tyle ich aktualnie mają, pozostając nieodścignionym liderem, na którego atuty z zazdrością spogląda niemal cały wojskowy świat, jak również ustalając – od 80 lat – wzorce w dziedzinie przenoszących samoloty morskich gigantów.

Jednak Chiny i Indie nie tylko patrzą.

Drenaż cennych środków

Na początku września indyjska marynarka wojenna przyjęła do służby lotniskowiec INS Vikrant – pierwszy okręt tej klasy zbudowany w Indiach. Uroczystość z udziałem premiera Narendry Modiego odbyła się w stoczni w Koczinie, gdzie 13 lat temu zaczęto prace nad jednostką. – Vikrant jest wielki, załuzony

i wyjątkowy – mówił Modi. – To nie tylko okręt, ale też świadectwo ciężkiej pracy, talentu, wpływowości i determinacji Indii w XXI w. Jeśli cele są odległe, podróże długie, a ocean i jego wyzwania nieskończone, to odpowiedzią Indii jest Vikrant.

Patos szefa rządu nie brał się znikąd. Budowa okrętu pochłonęła prawie 3 mld dol. i napotykała liczne problemy. Tuż po położeniu stępki wyszło na jaw, że stocznia brakuje odpowiedniej jakości stali do konstrukcji kadłuba – surowiec przyszedł z Rosji z wielomiesięcznym opóźnieniem. Niemal trzy lata trwało rozwiązywanie problemów ze źle zaprojektowanym i wykonanym układem napędowym. A potem nastąpiła pandemia COVID-19 – na Półwyspie Indyjskim wyjątkowo śmiertelność – której efektem były przestoje i zerwane łańcuchy dostaw komponentów niezbędnych do wykończenia Vikranta. Przez cały okres budowy w dowództwie sił zbrojnych ścierał się zwolennicy i przeciwnicy posiadania tak dużych okrętów. Bipin Rawat, szef sztabu generalnego w latach 2020-2021, był zdania, że należy się skupić na zwiększaniu floty podwodnej, antagonistom zarzucając zgodę na drenaż cennych środków. Mówił o Vikrancie, ale miał na myśli

również inną jednostkę, wcieloną do służby w 2013 r. INS Vikramaditya został zakupiony w Rosji, gdzie niszczał od upadku ZSRR. Łącznie z przebudową i modernizacją ten lotniskowiec kosztował indyjski budżet 2,4 mld dol.

Rawat nie przeforsował swojej koncepcji w ministerstwie obrony. Vikranta ukończono i uczyniono okrętem flagowym indyjskiej marynarki. Ma 262 m długości i 62 m szerokości, a wyporność 40 tys. ton. Jego komponent lotniczy może liczyć 40 statków powietrznych. Miejscowe media zachwycają się możliwościami Vikranta, pisząc jednocześnie o konieczności rozpoczęcia budowy kolejnego lotniskowca. Ma ona wynikać przede wszystkim z chińskich planów mocarstwowych.

Chińskie skracanie dystansu

Chińska marynarka wojenna ma w linii dwa lotniskowce – Liaoning i Shandong. Tak jak Hindusi Chińczycy wybrali się swego czasu na zakupy do dawnego ZSRR. Późniejszy Liaoning został nabyty w 2002 r. z rzekomym zamiarem przerobienia okrętu na park rozrywki. Dekadę później wszedł do służby, a doświadczenia z jego modernizacji posłużyły chińskim inżynierom przy budowie Shandonga, pod banderą od 2019 r. Shandong jest kopią Liaoninga, z tą różnicą, że od początku do końca powstał w Chinach. Od początku też przewidziano dla niego rolę jednostki przejściowej – mimo planów rozbudowy floty i lotniskowców Liaoning pozostanie „jedynakiem”. Chińskie ambicje mają realizować Fujian i jego następcy.

Fujiana zwodowano w lipcu tego roku. Nim trafi do aktywnej służby, minie jeszcze kilka lat, ale Pekin już chwali się, że najnowsze dziecko tamtejszego przemysłu stocznio-wojowego pod względem zdolności bojowych dorówna amerykańskim superlotniskowcom.

Przy takim postawieniu sprawy może się wydawać, że lęki Hindusów zostały źle zaadresowane – że Chińczycy zerkają łakomie nie na „ich” ocean, ale bardziej w stronę Pacyfiku, gdzie pierwsze skrzypce

gra flota Stanów Zjednoczonych. Otóż niezależnie od globalno-mocarstwowych zamiarów Chin kraj ten pozostaje uzależniony od transportu surowców energetycznych i towarów drogą morską, głównie przez obszar Oceanu Indyjskiego. I bez odpowiednio silnej floty nie jest w stanie samodzielnie kontrolować najważniejszych szlaków, narażając się na blokadę w sytuacji konfliktu. Są więc Indie, tak jak Tajwan, Japonia i Korea Południowa, potencjalnym zagrożeniem dla ChRL. Delhi nie rzuca wyzwania Waszyngtonowi (co w percepcji Pekinu dodatkowo je obciąża) – silna obecność wojskowa na wodach oblewających Półwysep Indyjski, głównie na Morzu Arabskim, przez dekady wynikała z konieczności szachowania Pakistanu. Kraje położone nad Zatoką Bengalską i Morzem Andamańskim nie sprawiały kłopotów, Chiny były daleko. Dwie dekady temu zaczęły skracać ten dystans.

Problematyczne samoloty

Choć ostatecznym celem pozostają Stany Zjednoczone, droga Chin do globalnej dominacji i tak zatem wiedzie przez konfrontację z indyjską marynarką wojenną. Teoretycznie lotniskowce odegrałyby w niej

odgrywać rolę samolotów pokładowych indyjskiej marynarki wojennej. Kilka miesięcy wcześniej podobne próby przeprowadzono z francuskimi maszynami Rafale. Po co? Okazuje się, że choć Delhi dysponuje dwoma lotniskowcami w służbie, niekoniecznie mogą one wykonywać zadania. Na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat Indie zakupiły w Rosji (za ok. 1,6 mld dol.) 45 myśliwców MiG-29K. Problemy z silnikami oraz wady konstrukcyjne – które doprowadziły do utraty trzech maszyn – czynią migi nieużytecznym złomem, dlatego Hindusi pilnie poszukują ich następców. Na wszelki wypadek zrezygnowali też z zakupu w Rosji śmigłowców morskich Ka-31, choć tym razem powodem są nie tyle kwestie techniczne, ile sytuacja międzynarodowa, powstała po agresji na Ukrainę. Indie nie chcą łamać reżimu sankcyjnego, obawiając się retorsji ze strony Zachodu.

Kłopoty Hindusów nie dają jednak przewagi Chińczykom. Ciekawe w tym kontekście są informacje na temat aktywności lotniskowca Liaoning. Otóż nie jest on intensywnie eksploatowany, większość czasu spędzając w porcie Qingdao. Gdy już wypływa w morze, z rzadka służy załogom samolotów – te zwykle startują z lądu i nie jest to lotnisko

Najnowszy typ lotniskowca Gerald R. Ford ma 333 m długości i 77 m szerokości. Z jego pokładu może operować 90 samolotów wielozadaniowych i śmigłowców.

ogromną rolę jako wiodące okręty morskich grup uderzeniowych. Ale...

Pod koniec lipca koncern Boeing poinformował o zakończeniu prób operacyjnych samolotów bojowych F/A-18, realizowanych na prośbę Indii w bazie lotniczej w Goa. Dwa hornety testowały możliwości startów i lądowań na pasie symulującym pokład lotniskowca. Wyjaśnić należy, że na okrętach o radzieckim rodowodzie – inaczej niż w przypadku konstrukcji amerykańskich – start odbywa się z rampy *ski-jump* (zakrzywiony ku górze pokład). Bez zbędnego wchodzenia w szczegóły techniczne, testy wykazały, że F/A-18 mogłyby

imitować pokład lotniskowca (mimo że takie obiekty zostały w Chinach wybudowane). Mnożą się zatem spekulacje na temat stanu technicznego Liaoninga i przede wszystkim kompetencji chińskich pilotów. Problemy, z jakimi mierzą się lotnicy pokładowi z Indii, oraz generalny blamaż rosyjskiej broni podczas wojny w Ukrainie mogą tu wiele wyjaśnić. Chińczycy latają na maszynach o egzotycznie brzmiącej nazwie Shenyang (do której dodawane są numery typów), ale w rzeczywistości są to kopie radzieckich i rosyjskich konstrukcji.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl



Córka narodu

Giorgia Meloni chce dać Włochom „silny i stabilny rząd”. Najpewniej za cenę demokracji i tolerancji

Mateusz Mazzini

Jak na liderkę skrajnie prawicowej formacji i zwolenniczkę raczej sztywnego gorsetu zasad moralnych, potrafi być zaskakująco elastyczna. W praktycznie każdej kampanijnej wypowiedzi nawiązującej do kwestii światopoglądowych wspominała wartości chrześcijańskie, jednak w wywiadach kilkakrotnie już przyznała, że wiara jest dla niej w polityce kwestią drugorzędną. W debatach telewizyjnych, pytana o politykę migracyjną, przedstawiała zaskakująco szczegółowy plan stworzenia w Afryce Północnej hot spotów, w których uciekający przed wojną uchodźcy byliby oddzielani od nielegalnych migrantów. Jednocześnie na łamach Gazzetta Tricolore, newslettera skierowanego do zwolenników jej partii, pisała, że

jednym sposobem na rozwiązanie problemu z migrantami jest ustanowienie na Morzu Śródziemnym blokady morskiej, egzekwowanej przez włoską marynarkę wojenną. Podobnie jest z polityką rodzinną, w której chce pomagać samotnym matkom, podkreślając zarazem, że w pełnowartościowej rodzinie jest zawsze dwoje rodziców.

Z tych powodów przeciwnicy lubią nazywać Giorgię Meloni hipokrytką. Niewiele jednak na tym zyskują, bo szefowa Braci Włochów i najprawdopodobniej przyszła premierka Włoch – pierwsza w historii – krytyki po prostu nie słucha. Zwłaszcza tej dochodzącej z lewej strony. Dla niej to co najwyżej dowód politycznej skuteczności, zdolności dopasowania się do różnych segmentów elektoratu. Meloni to bowiem polityczka, którą można określić wieloma epitetami. Kontrowersyjna

– tak. Niedoświadczona – być może. Skuteczna – na pewno.

Nie taka znowu nowicjuszka

Cudu już nie będzie. W chwili, w której czytelnicy wezmą do rąk ten numer PRZEGŁĄDU, wielka prawicowa koalicja będzie najprawdopodobniej ogłaszać wyborczy triumf, a Meloni – szykować się do roli szefowej rządu. Przerwie w ten sposób trwający ponad 70 lat monopol mężczyzn na sprawowanie władzy na Półwyspie Apenińskim. Przed nią premierów było 30. Niestety, to, że będzie ona pierwszą kobietą na tym stanowisku, nawet dla kobiet nie oznacza nic dobrego.

45-letnia Giorgia Meloni, choć prowadzi najpopularniejszej partii we Włoszech, nieustannie buduje wizerunek politycznej nowicjuszki. Jej zwolennicy przyświadczać temu, w końcu jeszcze do niedawna Bracia Włosi mieli zaledwie kilka procent poparcia, a sama Meloni nie może się równać doświadczeniem z innymi liderami partyjnymi, takimi jak ekspremierzy Enrico Letta, Matteo Renzi i Silvio Berlusconi czy były szef MSW Matteo Salvini.

Dla krytyków to tylko kolejny dowód jej hipokryzji, bo Meloni w rządzie już zasiadała, w latach

Giorgia Meloni przed wyborami z Matteo Salvinim (Liga), Silviem Berlusconiem i Maurizioem Lupim (Forza Italia).

2008-2011, w czwartym gabinecie Berlusconi, zajmując się polityką wobec młodych ludzi. Mało tego, do dziś pozostaje najmłodszą osobą w historii Włoch, która samodzielnie kierowała jakimkolwiek ministerstwem. Politycznie aktywna jest od nastoletniości, o czym chętnie opowiada. Jednak w 30-letniej już karierze całkiem długo związana była z ruchami, które demokracji, mówiąc eufemistycznie, nie cenia.

Urodzona w Rzymie, wyrastała w ludowej, zamieszkaney raczej przez klasę robotniczą dzielnicy Garbatella. Pochodząca z Sardynii matka wychowywała ją tam sama, po tym jak ojciec, doradca podatkowy, zostawił je, gdy Giorgia miała 11 lat. W autobiografii „Jestem Giorgia” skromnym początkom Meloni poświęciła sporo miejsca. O ojcu prawie w ogóle nie wspomina. W wywiadach z reguły również nie, ale zachowały się pojedyncze wypowiedzi, w których określała go mianem komunisty. Nigdy nie wybaczyła mu, że wyjechał na Wyspy Kanaryjskie, wiążąc się tam z inną kobietą.

Nie wiadomo, czy ojciec rzeczywiście miał lewicowe poglądy ani czy to tutaj należy szukać przyczyny zaangażowania się Meloni w prawicową politykę. Fakt, że zaczęło się bardzo szybko. Jeszcze jako nastolatka wstąpiła do Ruchu Młodzieżowego, kuźni kadr Włoskiego Ruchu Społecznego (MSI). To nie pomyłka ani zbieżność akronimów. MSI został założony w 1946 r. na gruzach ruchu faszystowskiego. W tę partię przepoczwarzyli się zwolennicy Benita Mussoliniego, których przy wydatnym wsparciu Kościoła katolickiego i Amerykanów utrzymano przy życiu, by nie dopuścić do przejęcia władzy we Włoszech przez komunistów. Z czasem MSI się cywilizował, odchodził od faszystowskiej symboliki, jednak w partyjnych dołach pamięć o Mussolinim nie gaśnie. Politycznym idolem był zresztą dla samej Meloni. W jednym z zachowanych wystąpień publicznych z czasów Ruchu Młodzieżowego wychwalała go jako

polityka, który „zrobił bardzo wiele dla Włoch i włoskiego narodu”.

Za przykładem Jana Pawła II i Matki Teresy

Od postfaszystowskich korzeni Meloni się nie odcina, choć zapewnia, że dzisiaj ma zupełnie inne poglądy. Sama siebie opisuje w czterech słowach: nacjonalistka, konserwatystka, chrześcijanka, matka. Jako wzorce postaw życiowych wskazuje Jana Pawła II i Matkę Teresę, których zdjęcia ma na ścianie w gabinecie, obok fotografii pięcioletniej córki. Pytana w wywiadzie dla „Washington Post” o filary programu Braci Włochów, nawiązała do tradycji europejskiego konserwatyzmu. Swoje rządy chce opierać na wolności osobistej, wolnym rynku, swobodzie edukowania według własnych przekonań, ale też na „umieszczeniu rodziny w centrum włoskiego społeczeństwa” i ochronie granic kraju przed nielegalnymi migrantami.

Giorgia Meloni jest przede wszystkim polityczką skuteczną, więc różnicuje swój przekaz w zależności od tego, do kogo jest kierowany.

Nie znaczy to jednak, że nazywanie Braci partią neofaszystowską (tak najczęściej robi włoski obóz progresywny), postfaszystowską (to określenie preferują naukowcy) czy faszyzującą (publicyści) jest w jakikolwiek sposób przesadzone. Meloni jest bowiem przede wszystkim polityczką skuteczną, więc różnicuje przekaz w zależności od tego, do kogo jest kierowany. A że na włoskiej skrajnej prawicy, zwłaszcza w miejscach, w których pokrywa się ona z klasą ludową, poparcie dla rdzennego faszyzmu jest całkiem spore i widoczne, zupełnego odcięcia się od tego dziedzictwa nigdy nie będzie.

Dlatego Giorgia Meloni toleruje w swoich szeregach członków klanu Mussolinich, zarówno wnuczkę II Duce, Rachele, jak i jego prawnuka, Gajusza Juliusza Cezara. Ten drugi zasłynął w 2019 r. wynajęciem w Peru na rozpoczęcie kampanii w eurowyborach restauracji, w której chciał

urządzić publiczne czytanie dzieł zebranych Benita Mussoliniego. Do wydarzenia ostatecznie nie doszło, bo zgody nie wyraził właściciel lokalu, ale kandydat ani zdania nie zmienił, ani nie zaprzestał prób rehabilitacji pradziadka w przestrzeni publicznej.

Członków Braci Włochów, którzy ciepłymi uczuciami darzą Benita Mussoliniego, jest więcej. A Meloni ich nie potępia. Trudno o lepszy dowód na bycie postfaszystką. A jeśli dodać do tego zamiłowanie do symboliki tamtych czasów, np. wieloletnie utrzymywanie w logotypie partii Fiamma Tricolore, trójbarwnego płomienia, jednego z głównych elementów faszystowskiego rezerwuaru symbolicznego, oraz politykę migracyjną opartą na kryteriach rasowych, obraz staje się jasny.

Należy jednak w tym miejscu podkreślić, że to nie faszyzm (i jego sprytnie ukrywanie) wyniesie Meloni do władzy. W końcu, jak się zakłada, sześcioletni rząd będzie koalicyjnym, który nawet włoska prasa definiuje

jako blok „centroprawicowy”. W jego skład wchodzi Forza Italia Silvia Berlusconi, od lat zakorzeniona w europejskiej chadecji, w Parlamencie Europejskim zrzeszona w Europejskiej Partii Ludowej, oraz Liga, której przewodniczący, Matteo Salvini, to polityk wprawdzie radykalny, ale bardziej treścią niż formą. Jeśli bowiem porównywać go do któregośkolwiek innego europejskiego polityka z szerokiej populistycznej rodziny, najbardziej przypomina Borisa Johnsona. Politycznego klauna, który lubi absorbować uwagę, ale niekoniecznie realizować swoje postulaty.

Pytanie o źródła popularności Meloni i Braci Włochów nie powinno więc koncentrować się na sympatii Włochów do faszyzmu. Ona sama do władzy nie dojdzie, jej ugrupowanie popiera 26% wyborców. Dużo, z drugiej strony jedynie 1-2 pkt proc. mniej, niż wynosi poparcie drugiej w sondażach centrolewicowej Partii ▶

► Demokratycznej. W takiej sytuacji należy zapytać, dlaczego tym pozostałym wyborcom postfaszystowska Meloni nie przeszkadza.

Most donikąd

Prawdopodobnie z przyczyn gospodarczych. Cokolwiek bowiem mówić o postulatach tożsamościowych, jak najbardziej kontrowersyjnych i popularnych w mediach, one elektorat rzadko mobilizują. Przynajmniej ten, który jeszcze nie został zaktywizowany. O zasadach przyznawania włoskiego obywatelstwa na co dzień myśli się przecież mniej niż o rachunku za prąd, cenie żywności czy przyszłości własnej firmy. A tu Meloni ma zestaw gotowych odpowiedzi, które brzmią całkiem przekonująco. W swoim programie zapowiada inwestycje państwowe na szeroką skalę, zwłaszcza w infrastrukturze. Dbą przy tym, żeby były to projekty efektywne. Na przykład most przez Cieśninę Mesyńską, mający połączyć Sycylię z Półwyspem Apenińskim.

Nad tym pomysłem warto się pochylić, bo jest on reprezentatywny dla planu gospodarczego Braci Włochów. Idea połączenia Messyny i Reggio Calabria mostem pojawia

się we włoskich kampaniach wyborczych mniej więcej od 30 lat. Zawsze jednak jako fantasmagoria, nieokreślony cel, polityczne efekciarstwo. Przede wszystkim dlatego, że taki most nie ma racji bytu. Przeciwnicy inwestycji zauważają, że łączyłby dwa regiony, które infrastrukturalnie są w katastrofalnym stanie. Ani wschód Sycylii, ani Kalabria nie mają dobrych dróg krajowych, których mógłby być przedłużeniem. Stare, wąskie drogi permanentnie się kor-

debatę publiczną, skupić ją na tematach związanych z migracją, tożsamością narodową i egzystencjalnymi zagrożeniami dla społeczeństwa. Przepytwana przez „Washington Post”, jako największego politycznego wroga wskazała lewicę – ale nie tę włoską, tylko całościową, światową. Reprezentuje ona jej zdaniem „groźną ideologię globalizmu”, dąży do pozbawienia kolejnych narodów swoich unikatowych cech, uniformizując ludzi na siłę.

Sama siebie opisuje w czterech słowach: nacjonalistka, konserwatystka, chrześcijanka, matka.

kują. Po co zatem stawiać drogą, olbrzymią przeprawę, która w obie strony będzie prowadzić absolutnie donikąd? Chyba wyłącznie na chwałę jej budowniczych. A to z kolei znowu budzi skojarzenia z podejściem do architektury rządów z lat 30.

Pozostałe aspekty programu Braci Włochów to mieszanka konserwatywnego podejścia społecznego z modnymi postulatami europejskiej prawicy. Walka z katastrofą klimatyczną? Potrzebna, nie negujemy jej. Ale może ona się odbyć tylko w harmonijnym połączeniu z dbałością o interesy przemysłu, osłabionego latami kryzysu. Odnawialne źródła energii? Jak najbardziej, ale raczej odpowiedzialność przerzucamy na indywidualnych odbiorców, systemowych rozwiązań w stylu wielkich farm wiatrowych albo funduszu klimatycznego nie proponujemy. Pozycja samotnych rodziców? Bezpośrednie transfery pieniężne, przy jednoczesnym podkreślaniu, że prawdziwa rodzina składa się z ojca i matki. Krótko mówiąc, niewiele jest tam konkretów, nieporównywalnie mniej niż w założeniach programowych Partii Demokratycznej.

Największy wróg polityczny – światowa lewica

Co z tego, skoro kampanijna debata nie toczyła się wokół tego, kto co Włochom i Włoszkom proponuje. I tutaj chyba dostrzec należy największy sukces Giorgii Meloni. Udało się jej bowiem zmonopolizować włoską

Niestety, jej przeciwnicy, z raczej niezdatnym i mało skutecznym liderem PD Enrikiem Lettą na czele, dali się wciągnąć w światopoglądową szamotaninę. Choć program lewicy, oparty na dwóch niezwykle ważnych filarach: oświacie publicznej i ochronie środowiska, jest ciekawy i wart głębszego poznania, niknie w szumie debat o tym, kogo do Włoch warto wpuścić, a kto musi zostać w Afryce. Po drugiej stronie zapanowała nawet swego rodzaju histeria, w ramach której Giorgię Meloni porównuje się do kolejnych postaci z panteonu włoskich faszystów, przez co nikt nie zadawał jej trudnych pytań, np. o realizację programu.

O jej faszystowskich korzeniach i miękkiej polityce wobec radykałów mówić oczywiście trzeba. Nie można jednak zapominać o pozostałych elementach walki politycznej, bo – jak już ustaliliśmy – Meloni nie przejmie władzy dlatego, że jest postfaszystką. Zrobi to, bo sprawnie komunikuje się z elektoratem, wciąga lewicę w tożsamościowe zasadzki, jednocześnie grając na ekonomicznych frustracjach klasy ludowej. W tej chwili we Włoszech jest zapotrzebowanie na taką politykę, a ona doskonale je realizuje. Nie napotyka przy tym żadnego trudnego przeciwnika. Jej marsz na Rzym właśnie się zaczyna. I, tak jak w czasach faszyzmu, niesie ryzyko zepchnięcia Włoch w kierunku prawicowego radykalizmu. Wszyscy wiemy, co je tam czeka.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Miliony agentów Putina

Wybory parlamentarne w Szwecji i znakomity wynik Szwedzkich Demokratów to szok w kraju, gdzie socjaldemokracja jest od wieku religią narodową. Partia ma nazistowskie korzenie, chociaż wchodząc na scenę polityczną, miarkowała swój radykalizm i odcinała się od przeszłości. Kusi jednak programem czystego etnicznie szwedzkiego społeczeństwa i jest przeciwna wszelkiej wielokulturowości. Postrzega Węgry i Polskę jako kraje do naśladowania. Piszę o tym, bo Szwecja mi bliska; kiedy tam mieszkalem, taki skręt w prawo był nie do wyobrażenia. Zapewne przesadzili z liczbą przyjmowanych imigrantów, nawet tak tolerancyjne społeczeństwo wpadło w panikę. Ale to nadal niezwykły kraj, bezpieczny i nadal to państwo opiekuńcze.

Mój przyjaciel dzwonił do mnie ze Sztokholmu, w strasznym stanie, ledwie mówił, miał atak lęku i paniki. Wezwał pomoc, przyjechały trzy samochody: osobowy, ambulans i policja. W sumie do jego mieszkania wparowało dziewięć osób: trzech policjantów, obsługa ambulansu, psychiatry. To jest właśnie Szwecja. Chcieli go zabrać do szpitala, nie zgodził się. Zostawili mu leki. Lekarka powiedziała: musi pan się trzymać, ma pan tyle obrazów do namalowania. Piotr teraz okropnie się wstydzi, że aż tyle osób przyjechało go ratować. Dzwonię do niego w nocy, czuje się lepiej po lekach, ale słowa ledwie się z niego sączą. Miewałem kiedyś takie stany i wiem, jak to jest, gdy włosy stają dęba.

Syn od niedawna chodzi do społecznego liceum im. Bronisława Geremka. Coraz więcej wokół szkół, których patronami są ludzie zdaje się, że przed chwilą żywi, np. Bartoszewski, Herbert, Szymborska – przeciw dopiero co z nimi rozmawiałem. To liceum, które w zgodzie z patronem w założeniu jest liberalne i otwarte. W Polsce nadal to możliwe. Inna sprawa to upadek edukacji publicznej, już wcześniej nie było dobrze, różne grzechy wobec edukacji mają także poprzednie rządy, a teraz Zalewska i Czarnek ją załatwili. PiS wygrało wojnę z nauczycielami i nie dało im podwyżek. Najlepsi odchodzą do lepiej płatnych zawodów. Mój syn chciałby być nauczycielem, ale mówi, że nie będzie z powodu niskich pensji, to już jest bardzo praktyczne pokolenie. Program szkolny też jest do luftu. Za wiele wiedzy, za mało myślenia. Szkoły publiczne przepiękne, bywają 34 osoby w klasie, a prywatne drogie. Zobaczmy, czy damy radę.

Spotkanie z Czesławem Bieleckim. Architekt, eseista, daje mi swoją nową książkę o architekturze „ArchiKod”. Znamy się od stu lat, zawsze podziwiałem jego błyskotliwą inteligencję, wiele talentów, ale znam również jego wady. Na spotkaniu jednak mniej arogancki i pyszny niż zwykle, takiego go lubię. Lewitował w stronę PiS, bo popadł kiedyś w nienawiść do Platformy, teraz nie może być chyba dalej pisowcem, więc gryzie wszystkich. Nie wdaję się z nim w polityczne dyskusje, i tak mnie przegada, szybko myśli i świetny mówca, ale w piśmie bez obaw mogę z nim stać na ringu. Teraz, zdaje się, stał się symetrystą, mówi, że TOK FM to Radio Maryja 2. Czyli „Gazeta Wyborcza” to rewers „Gazety Polskiej”, a „Fakty” równie są stronnicze jak „Wiadomości”. Tak i nie. Czy nie widzisz, że toczy się wojna? – pytam. Taka już pełną gębą, nie bierze się jeńców, życzy się wrogowi śmierci. Jak w takiej sytuacji

Miliony Polaków, którzy nie wierzą w zamach, za to wierzą w paranoję Macierewicza, my wszyscy, to w oczach prezesa zdrajcy i rosyjscy agenci.

domagać się obiektywizmu w stylu BBC? TOK FM, „Gazeta”, „Fakty” TVN są na tej wojnie i są po mojej stronie i po stronie zdrowego rozsądku, i nie one tę wojnę wywołały. To prawda, wojna zabiera rozum na rzecz emocji, ale na to chyba nie ma rady, takie emocje mieliśmy choćby w stanie wojennym, na pewno demonizowaliśmy gen. Jaruzelskiego i zamach, jaki zrobił. A o książce „ArchiKod” jeszcze napiszę, temat bardzo ważny i mi bliski, sam nieraz pisałem o upadku współczesnej architektury, ale ja amator, a Czesław fachowiec. Żyjemy w architekturze, oddychamy nią, a jak mało o niej rozmawiamy i dyskutujemy. I są powody tego, że w Polsce po wojnie z architekturą było szczególnie źle, jest poprawa, ale czy wystarczająca?

Prezes z mównicy sejmowej krzyczy wielkim głosem w wielkim gniewie do postów opozycji, którzy uważają, że nie było zamachu smoleńskiego, jest za to kłamstwo smoleńskie: „Wiedziałem, że tu jest agentura Putina, ale że tak liczna – nie!”. Doprawdy liczna. To miliony Polaków, którzy nie wierzą w zamach, za to wierzą w podłą paranoję Macierewicza. Cała ta wielka rzesza, my wszyscy, to w oczach prezesa zdrajcy i rosyjscy agenci. W gruncie rzeczy jest to obraz wzruszający i surrealistyczny. ■

Paweł Siergiejczyk

Jan Lechoń zanotował w dzienniku pod datą 28 września 1950 r.: „Żeromski po bitwie warszawskiej napisał kawałek prozy »Na probostwie w Wyszkowie«, który teraz trzeba będzie przypomnieć z okazji 25-lecia jego śmierci, bo jest to przekleństwo rzucone Bierutowi i Cyrankiewiczowi, którzy w roku 1920 nazywali się Marchlewski, Leszczyński i Feliks Kon. Ale na parę tygodni przedtem, gdy Moskale ruszyli na nas spod Kijowa, Żeromski, pod którego opieką kurowałem się wtedy w Orłowie, zatrzymał się nagle w czasie naszego spaceru po pomoście i powiedział: »Nie ma innej rady, tylko musimy zaraz stworzyć nasz własny rząd bolszewicki. Marchlewski i Leszczyński – to przecież także Polacy«”.

Dla Lechonia, który był konsekwentnym antykomunistą – i swój antykomunizm przyplacił życiem, popełniając w rozpacz samobójstwo na nowojorskim bruku – postawa Żeromskiego z lata 1920 r. była na tyle kompromitująca, że nie chciał jej upubliczniać w trosce o legendę wielkiego pisarza (dzienniki Lechonia ukazały się wiele lat po jego śmierci). Ale może warto spojrzeć na tę sytuację nieco inaczej i spróbować zrozumieć myślenie autora „Przedwiośnia” w sytuacji krytycznej dla państwa i narodu.

Żeromski należał do pokolenia, które większość życia spędziło w narodowej niewoli. O ile dla dużej części ludności mówiącej po polsku (użycie określenia Polacy wo-

Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski na początku sierpnia 1920 r. W środkowym rządzie od lewej: Iwan Skwarcow-Stiepanow, Feliks Dzierżyński, Julian Marchlewski, Feliks Kon.



państwa, które gwarantowałyby jej urzędy, instytucje, stanowiska i odpowiedni prestiż, jakiego nie miała pod rządami obcych monarchów. Nie może zatem dziwić kluczowa rola inteligentów (czyli ludzi, których „klejnot herbowy” stanowiło

– wykorzystali dziejową okazję i zrealizowali swoje życiowe marzenie. Lecz nie minęły dwa lata, a już owo zniszczone marzenie stało się wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa: najpierw wielki entuzjazm wywołany wyprawą kijowską, a zaraz potem wielka trwoga, gdy armie bolszewickie zbliżyły się do Warszawy.

I w takim momencie Stefan Żeromski – już wtedy uważany na najważniejszego spośród żyjących pisarzy i uosobienie inteligenckiego idealisty – rzuca myśl o stworzeniu „naszego własnego rządu bolszewickiego”, czego znacznie młodszemu Lechoń nie mógł mu wybaczyć jeszcze po 30 latach. Czy ta reakcja Żeromskiego była tylko skutkiem chwilowej paniki? A może w tych słowach wielkiego pisarza należałoby szukać wyjaśnienia postaw tak wielu naszych rodaków z lat 1944,

Brak państwa polskiego dla polskiej inteligencji stanowił kwestię najważniejszą.

bec milionów chłopów analfabetów z tamtej epoki może być kwalifikacją trochę na wyrost) brak państwa polskiego nie był szczególnie dotkliwy, o tyle dla polskiej inteligencji stanowił kwestię najważniejszą. Inteligencja bowiem – podobnie jak szlachta w dawnej Rzeczypospolitej – tworzyła grupę żywotnie zainteresowaną posiadaniem własnego

wykształcenie) we wszelkich działaniach niepodległościowych XIX w. i początku następnego stulecia.

Wykorzystać słabość imperium

To właśnie polscy inteligenci – których przywódcami politycznymi w latach I wojny światowej byli Józef Piłsudski i Roman Dmowski

1945 i późniejszych – aż do samego końca PRL?

Dla dużej części społeczeństwa wojna z bolszewicką Rosją w 1920 r. była przede wszystkim wojną z Rosją – tą samą (choć już nie taką samą), która panowała nad większością ziem polskich od czasów rozbiorów. Ale w tej naszej nierównej rozgrywce z Moskalami zawsze pojawiała się myśl, by spróbować wykorzystać choćby chwilową słabość imperium czy złagodzenie jego polityki do poszerzenia polskich swobód. Takie było myślenie XVIII-wiecznej Familii Czartoryskich i króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, takie były nadzieje Stanisława Staszica, Adama Jerzego Czartoryskiego i Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, a potem Aleksandra Wielopolskiego i Romana Dmowskiego. „Orientacji rosyjskiej” wśród polskich elit nie sposób jednak określić mianem zwykłej kolaboracji, bo zawsze i w każdych okolicznościach stało za nią dążenie do odbudowania chociażby namiastki własnej państwowości – niechby nawet symbolicznej, ale niepozwalającej zapomnieć Europie o istnieniu osobnej narodowości pomiędzy Niemcami a Rosją.

W XX w. ten sposób myślenia znów okazał się przydatny, lato 1920 r. zaś miało się okazać swoistym treningiem przed wyzwaniem, które czekały nas niespełna ćwierć wieku później. Akcja „Burza” w 1944 r. nie stała się powtórką z „cudu nad Wisłą”, bo też nie było na to szans – potęga Rosji stalinowskiej była nieporównanie większa niż Rosji leninowskiej, potencjału Armii Krajowej zaś nie da się przymierzyć do możliwości Wojska Polskiego, którego wodzem był Piłsudski. Może tylko postawa zachodnich mocarstw była w obu momentach podobna – brak realnej pomocy militarnej i polityczno-dyplomatyczna obłuda w stylu najgorszych tradycji kongresu wiedeńskiego...

Jaka alternatywa

Dlatego w latach 1944 i 1945 wróciła myśl Żeromskiego o stworzeniu „naszego własnego rządu bolszewickiego”. Może nikt tak tego wprost

nie formułował, ale większość ludzi chłodno myślących zdawała sobie sprawę, że alternatywą jest nie powrót niepodległej Rzeczypospolitej z lat 1918-1939, lecz republika radziecka rządzona bezpośrednio z Moskwy, bez udziału Polaków, tak jak „zachodnia Ukraina” i „zachodnia Białoruś” w latach 1939-1941. I trzeba jasno powiedzieć, że mieliśmy dużo szczęścia (szczęścia w nie-szczęściu – chciałoby się dodać), że Rosja XX-wieczna była Rosją komunistyczną, czyli zbudowaną na leninowskiej ideologii oficjalnie odrzucającej imperializm i przyznającej

Żeromski należał do pokolenia, które większość życia spędziło w narodowej niewoli.



Stefan Żeromski

narodom „prawo do samostanowienia”. Ten aspekt ideologii komunistycznej – zdecydowanie najbardziej „sympatyczny” i zjednujący Sowietom masowe poparcie w wielu miejscach świata – okazał się kluczową szansą dla Polaków w momencie zakończenia kolejnej wojny światowej.

„Marchlewski i Leszczyński – to przecież także Polacy”. To stwierdzenie Żeromskiego powinno szczególnie mocno zabrznieć w uszach naszych mocno spóźnionych antykomunistów (zwłaszcza tych z IPN i z szeroko pojętej prawicy). Tak, to byli Polacy! Polscy inteligenci: Julian Marchlewski – z pokolenia Żeromskiego, Julian Leszczyński

„Leński” – pokolenie młodszy. Charakterystyczny jest ich związek z najstarszą polską uczelnią – młodszy brat Marchlewskiego, wybitny biochemik, był w latach 20. rektorem UJ, Leszczyński zaś przed I wojną światową studiował tam polonistykę. I wojna światowa i rewolucja bolszewicka rzuciły ich do Rosji, gdzie u boku Lenina, jak tysiące innych rodaków, zaprowadzali nowe porządki. Tragizm losu sprawił, że obaj zakończyli życie na obcej ziemi jako funkcjonariusze obcego mocarstwa: Marchlewski jako rektor jednej z „czerwonych” uczelni w Moskwie

i przewodniczący Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom, Leszczyński jako sekretarz generalny Komunistycznej Partii Polski, aresztowany i rozstrzelany na rozkaz Stalina w 1937 r., wraz z większością czołowych działaczy KPP.

W Polsce Ludowej obaj mieli swoje ulice i place, o których dziś już mało kto pamięta – stracili je w pierwszej fazie „dekomunizacji”, zaraz po 1989 r. Trudno temu się dziwić, tak jak ich towarzysz z szykowanego w 1920 r. rządu „Polskiej Republiki Rad”, Feliks Dzierżyński, nie zasłużyli na dobrą pamięć w niepodległej Polsce. Ale czy w ogóle nie zasłużyli na pamięć w swojej ojczyźnie? Czy ma po nich pozostać „biała plama” w podręcznikach historii lub co najwyżej epitet „czerwonej targowicy”? Czy nie warto czasem się zastanowić nad ich racjami, które sprawiły, że wybrali marzenie o światowej rewolucji zamiast budowania tak dalece niedoskonałej II Rzeczypospolitej? Niepoprawni marzyciele? Tak, z całą pewnością. Zdraycy? W jakimś stopniu też, ale z zastrzeżeniem: ich zdrada mogła Polsce się przydać. Tak jak przydała się np. zdrada ppłk. Zygmunta Berlinga, który, zamiast wyjść z Rosji wraz z armią gen. Andersa, pozostał, by stworzyć nowe wojsko. Wojsko, dzięki któremu tysiące polskich zesłańców mogły opuścić sowiecką ziemię, a tereny między ►

► Bugiem i Odrą były wyzwalane nie tylko przez Armię Czerwoną.

Gdyby nie doszło do „cudu nad Wisłą” i świeżo odrodzona Polska padłaby łupem armii Tuchaczewskiego, wówczas polscy bolszewicy mogliby odegrać rolę tych, którzy ocalili choćby szczątkową polską państwowość. Leninowi trudno byłoby odmówić stworzenia „Polskiej Republiki Rad”, tak jak Stalinowi trudno było odmówić zgody na odrodzenie Rzeczypospolitej Polskiej u schyłku II wojny światowej. I w jednym, i w drugim przypadku mowa o państwie niesuwerennym,

ze Skamandra, Antoni Słonimski i Jarosław Iwaszkiewicz, którzy po kolei pełnili funkcję prezesa Związku Literatów Polskich w PRL).

Ukraińska lekcja

Polska z lat 1956-1980 była państwem satelickim Moskwy, ale o takim zakresie niezależności i swobód obywatelskich, o jakim trudno było nawet marzyć w czasach stalinowskich, a w innych krajach bloku radzieckiego także dużo później. A jednak to prawie ćwierćwiecze „małej stabilizacji” (przerywanej czasami

oczywiste. Z tego punktu widzenia stan wojenny wydawał się narodową tragedią i utratą wszystkiego, co osiągnięto nie tylko od sierpnia 1980 r., ale wręcz od 1956 r. Dzisiaj możemy na to spojrzeć inaczej, znacznie spokojniej, bo wiemy, że smutne, szare, wręcz beznadziejne lata 80. stanowiły jedynie preludium do wielkiej zmiany, która zaszła w 1989 r. Strach przed gniewem Moskwy towarzyszący przez dziesięciolecia Polakom – i tym rządzącym, i tym rządzonym (może nawet bardziej tym pierwszym) – u schyłku ostatniej dekady PRL zastąpiła nadzieja idąca właśnie z kierunku wschodniego. Gorbaczowowska pierestrojka odsoniła faktyczny stan radzieckiego imperium, które nie było już w stanie kontrolować państw satelickich, a wkrótce okazało się, że i własnych republik narodowych.

Wśród tych drugich była Ukraina. Z jej samodzielnością poradziecka Rosja godziła się przez 30 lat. Od 24 lutego br. wiemy, że była to zgoda bardzo niechętna. Ukraińcy są dziś w takim miejscu swojej historii, w jakim my byliśmy latem 1920 r. Czy mogą liczyć na swój „cud nad Dnieprem”? Teoretycznie szanse mają nawet większe, bo nie są osamotnieni i zdradzeni przez Zachód. Ale sytuacja może się ułożyć rozmaicie. Na przykład tak jak w Polsce w 1944 r.

I wtedy kwestią kluczową będzie nie marzenie o odzyskaniu Krymu i Donbasu (tak jak dla nas nie było kluczowe utrzymanie Wilna i Lwowa), lecz to, kto ma rządzić w Kijowie: rosyjscy namiestnicy czy jednak Ukraińcy, tyle że mogący liczyć na akceptację Moskwy. My w naszej przeszłości mamy to doświadczenie, choć duża część naszych elit zachowuje się tak, jakbyśmy go nigdy nie mieli. Bo znacznie łatwiej tworzyć narodowe mity, niż uczciwie konfrontować się z rzeczywistością.

Paweł Siergiejczyk

Łatwiej tworzyć narodowe mity, niż uczciwie konfrontować się z rzeczywistością.

zależnym od Moskwy, lecz polskim. A niesuwerenne państwo polskie zawsze było lepsze od żadnego, bo stanowiło punkt wyjścia do dalszych starań o poszerzenie swobody i dawało nadzieję na Polskę w pełni niepodległą.

Tak również należałoby patrzeć na dzieje PRL – gdyby chcieć do nich podchodzić bez gniewu i uprzedzeń. Punkt wyjścia wydawał się fatalny: zdrada zachodnich sojuszników w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, a potem było nawet gorzej, bo stalinizm początku lat 50. nie dawał żadnych nadziei. Ale po śmierci Stalina i Bieruta otworzyła się pierwsza szansa, którą Polacy wykorzystali w październiku 1956 r. Jan Lechoń tego już nie doczekał, tragicznie kończąc z życiem kilka miesięcy wcześniej. Ale wielu jego kolegów po piórze zrozumiało, że tę szansę należy wykorzystać, i dlatego wracali z emigracji (jak Zofia Kossak-Szczucka, Melchior Wańkowicz, Stanisław Cat-Mackiewicz) lub aktywnie angażowali się w życie kulturalne kraju (jak dawni przyjaciele Lechonia

krótkotrwałymi protestami społecznymi) nie pozbawiło Polaków dalszych aspiracji. Bezkrwawa rewolucja Solidarności z lat 1980-1981 nie była wszakże kolejnym powstaniem narodowym przeciwko Rosji, lecz erupcją niezadowolenia społecznego wywołanego zgnęśnieniem władzy i nietraktowaniem przez nią serio socjalistycznych ideałów, które większość Polaków uznawała już za

Mamy już 38 tytułów!

e-booki PRZEGLĄDU od 9,90 zł

Książki bez cenzury Historia bez IPN

Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Promocja trwa tylko do 30 września!

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Spało się świetnie

Sprawdzam temperaturę – nie mam ściennego termometru, tylko taki z apteki, można przedstawiać ucho-czoło-dom, ale nie umiem zmienić fahrenheitów na celsjusze, więc mi wyświetla: 66,6 °F. To nie przypadek, to już jest krotochwilna poezja cyfr po prostu, gdybym miał wątpliwości, czy się obudziłem w raju, czy w piekle. Przeliczam sobie w sieciowym kalkulatorze: 19,2 °C – regulaminowo, trzymam się optymalnej temperatury pokojowej na sezon wojenny, czyli z grubsza najbliższe osiem miesięcy. A zatem pewnie do końca świata, który jeszcze nie przetrwał danych, a może po prostu nie przyjął ich do wiadomości, choć atak nuklearny odmienia się w mediach przez przypadki częściej niż w kryzysie kubańskim. Nie ma przypadków, tylko żelazna konsekwencja i nieubłagana logika losu – bomba atomowa jest jak strzelba Czechowa i choć nie spodziewaliśmy się dożyć ostatniego aktu, naiwnością byłoby się dziwić, że w końcu wystrzeli.

Spało się świetnie, ale przyszedł czas pobudek, niskich w przypadku Putina i gwałtownych dla Europy. On już głosi wprost, że to nie Ukraina, ale Zachód jest wrogiem, ogłasza częściową mobilizację do operacji wojskowej, co w przełożeniu na realia brzmi jak powszechna mobilizacja na wojnę, a przynajmniej tak to odczytuje naród, bo kto żyw wysuępuje zaskórniaki z onucy i kupuje bilet lotniczy w jedną stronę. Rosjanie uciekają w popłochu, nikt nie chce być mięsem armatnim, brak McDonaldów i Sbornej na mistrzostwach świata jakoś dało się znieść, infamię za zbrodnie na Ukrainach – ach, kto by tam wnikał, no ale żeby osobiście na front, to już przesada. Może jeszcze doczekamy zimy, wbrew pozorom dopiero się kończy kalendarzowe lato, mimo że w Tatrach właśnie zginęli goprowcy w śnieżnej lawinie, miasta nie zdążyły jeszcze się wyziębic. Kaczyści w ustach pełnych frazesów międlą modły o łagodną zimę, choć w razie czego ludowi się wytlumaczy, że mróz w chałupach to też wina tego, który obiecywał ciepłą wodę w kranie. Słupki poparcia w końcu zsynchronizowały się ze słupkiem rtęci, Prezes ogłasza, że wolno palić wszystkim oprócz opon, aż mi się makabryczny humor włącza, ale nie napiszę, o co prawdziwy Polak antysemita w takim razie dopyta.

Ja tam np. mógłbym spokojnie palić książkami, bo niczym w dystopii Raya Bradbury'ego te ważne noszę w sobie, a z tymi nieistotnymi i tak żegnam się bez żalu – naprawdę, po raz pierwszy spojrzałem na bibliotekę pod kątem możliwości opałowych i zacząłem żałować, że przez lata oddawaliśmy wszystkie nadmiary literackie bibliotekom. Najmniej szkoda siebie samego, co sobie siebie będę żałował: sporo mam wydań zagranicznych własnych powieści – stoją w kącie, bo nie było komu rozdać, ale jakiś instynkt samozachowawczy kazał je trzymać na pamiątkę. No, ludzie kochani, na pamiątkę to po jednym egzemplarzu wystarczy, dość tego narcyzmu, do pieca z tym, zobaczymy, jak Kuczoki się palą. Te w twardych okładkach pewnie najdłużej, wiadomo – niemieckie edycje, oni mają, by tak rzec, niejake tradycje z Bebelplatz.

W dzisiejszych czasach babcia Osiecka zmieniłaby refren songu z „wybacz, że nago śpię” na „daruj, że leżę w pulowerze”.

Nie ma co się oszukiwać: nie ma co szukać opału ekologicznego w czasie walki o przetrwanie, ojciec pana prezydenta powiedział, że organizm potrzebuje takich bodźców jak smog. Z dumą przyznaje, że wychował się w zasmrodzonym miasteczku – i proszę, wciąż żyje, daje do wiwatu, a jego syn, rodowity krakus, to już jest w ogóle językiem u wagi w sprawie zdrowotnych zalet pyłów zawieszonych. Złośliwi zimowymi wieczorami podśpiewują pod Wawelem: „Miałeś, chamie, złoty gród, ostał ci się ino smród”, a tu proszę – mąż stanu, głowa państwa, a z małopolskiej dymgły wyszedł.

Ech, na razie jesień przyszła, ale za jej plecami czai się zima z giwerą, o jakiej nam się nie śniło (choć spało się świetnie). Pary mają łatwiej – dogrzewają się wzajemnie do ponad 36 stopni; poza kołdrą już nie jest tak przytulnie, gdy kaloryfery milczą. Poniżej 16 to już przyda się szlafmyca, walka o kołdrę skończy się pościelową intercyzą, trzeba będzie dokupić komplecik, żeby każdy miał czym się przykryć z osobna. W dzisiejszych czasach babcia Osiecka zmieniłaby refren songu z „wybacz, że nago śpię” na „daruj, że leżę w pulowerze”.



PRZEGLĄD na Jesiennych Targach Książki



PRZEGLĄD - Fundacja Oratio Recta



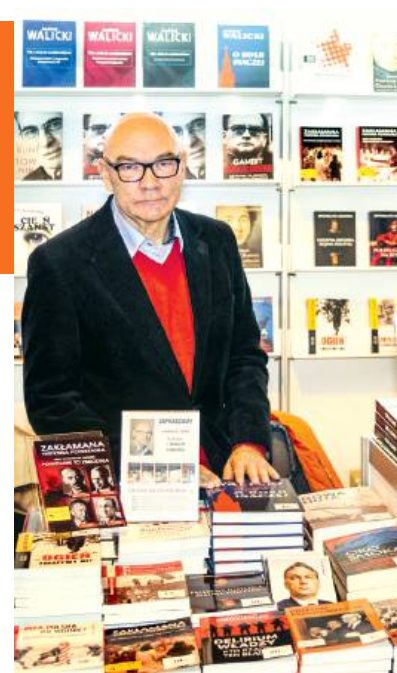
Z niezmiętym zainteresowaniem miłośników dobrej lektury spotkały się Jesienne Targi Książki, profesjonalnie zorganizowane przez Fundację Historia i Kultura w Arkadach Kubickiego i Ogrodach Zamku Królewskiego w Warszawie. Na targach pojawiło się ponad 100 wystawców, prezentujących szeroką ofertę swoich publikacji. Oczywiście nie mogło zabraknąć stoiska Fundacji Oratio Recta, wydawcy PRZEGLĄDU, i autorów książek przez nią opublikowanych. Nie tylko nasi czytelnicy mogli z nimi porozmawiać i uzyskać autograf.

Już niebawem kolejna edycja Targów Książki Historycznej (24-27 listopada), a więc do zobaczenia!

FUNDACJA
HISTORIA I KULTURA

Jesienne
Targi Książki





Zawsze wracam do teatru

Jako aktor jestem dla publiczności, a spektakle przeze mnie reżyserowane są po to, żeby publiczność chciała je oglądać

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Właśnie przeczytałem w sieci, że gra pan Wołodymyra Zefenskiego w serialu „Sługa narodu”. Wprawdzie zaprzeczał pan i powtarzał, że gra tylko rolę, którą grał Zefenski, ale już się pan z tego nie wypłacie. Wybiera się pan do polityki?

– To się nie zdarzy. Szczególnie po moich fódzkich zderzeniach z polityką krajową.

To bodaj pierwsza taka przeszkoda w pańskiej karierze – wcześniej szło jak po maśle, a w Łodzi złożył pan dyrekturę w połowie kadencji. Czy to znaczy, że w Polsce nie można prowadzić teatru?

– Nie wiem, jak to jest w Polsce, doświadczyłem, jak to jest w Łodzi, a właściwie w województwie łódzkim, bo Teatr im. Jaracza to teatr wojewódzki, nie miejski. Teraz Jaracz jest w takim układzie zależności polityczno-związkowych, który paraliżuje pracę, jeśli dyrektor chce być niezależny. W pewnym momencie, po półtora roku kopania się z koniem, stwierdziłem, że szkoda na to życia. Skoro zarząd związku zawodowego Solidarność do spółki z organizatorem usurpowali sobie prawo do decydowania, kogo mogę zatrudnić, kogo zwolnić, kogo powołać na swoich zastępców, kogo awansować, to pracować się nie dało.

Czyli funkcja dyrektora naczelnego stawała się fikcją?

– Tak. Mówiłem o tym na spotkaniu z zespołem, wyjaśniając, że moja decyzja o rezygnacji wzięła się m.in. z faktu odbierania mi należnych kompetencji. Na każdym kroku okazywało się, że czegoś nie mogę. Dochodziło do absurdów – nawet do grantu, który teatr otrzymał od Ministerstwa Kultury, organizator postanowił (na złość mnie) nie dać wkładu własnego i pieniądze przepadły.

**MARCIN
HYCNAR**

– aktor, reżyser,
menedżer kultury



Bardzo to zasmucające, bo Jaracz zasłużył sobie na lepszy los – z takim zespołem aktorskim.

– Tak myślę. To bardzo duża instytucja i świetny zespół aktorski, ale nie tylko. W pionie administracyjnym i technicznym pracuje także wielu entuzjastów i profesjonalistów. To jeszcze teatr, który ma własne potężne zaplecze produkcyjne. Szkoda, że nieliczna, ale dobrze umocowana grupka szkodników utrudnia pracę w miejscu o takim potencjale.

To oznacza, że zraził się pan do dyrekturowania w ogóle?

– Staram się tak nie mówić, że „na zawsze” i „nigdy”. Kiedy robiłem sobie przerwę w graniu, to też nie mówiłem, że na zawsze. Wiedziałem, że prędzej czy później zatęsknię. I tak się stało – wróciłem i sprawia mi to radość.

Wywołał pan swoim powrotem takie wrażenie jak wybuch wulkanu.

– „Mąż i żona” w Teatrze Polonia i „Amadeusz” w Teatrze Dramatycznym to były takie prezenty, dzięki którym mogłem uprawiać aktorstwo kreatywne, a dzisiaj nie ma do tego zbyt wielu okazji. Poza tym w obu

wypadkach mogłem się spotkać ze świetnymi zespołami aktorskimi i wspaniałymi reżyserkami. Zarówno pani Krystyna Janda, jak i Anna Wieczur to osoby, z którymi chce się pracować: doświadczenie, kultura osobista, przygotowanie, sympatia – przychodzi się na próby z przyjemnością. A przy tym są bardzo uważne na to, co aktor proponuje.

Podobno obawiał się pan, że jest za stary...

– ...do „Męża i żony”?

Nie, do roli Amadeusza.

– A tak. Przy „Mężu i żonie” bałem się, że jestem za młody, a przy „Amadeuszu”, że za stary. Jest taka tradycja grania „Męża i żony”, że na scenie spotyka się para starych i młodych, podczas gdy – Bohdan Korzeniewski pisał o tym – Mąż i Żona mają po 30 lat i są zaledwie dwa lata po ślubie. Nie są starzy.

Ale szybko się znudzili.

– Otóż to. Tu jest pies pogrzebany. To nie jest kwestia kilkudziesięcioletniej rutyny, ale ludzi, którzy potrzebują dodatkowych bodźców. Natomiast przy „Amadeuszu” obawiałem się – to było moje pierwsze pytanie do Ani

Wieczur – czy ja jeszcze te podskoki i fikołki wykonam, czy nie jestem za stary. Ale okazało się szczęśliwie, że jeszcze potrafię sprawiać wrażenie, że przychodzą mi one bez wysiłku... a gdy założono mi perukę, dodano make-up i kostium, to nawet mój brat powiedział, że wyglądam na 20-latkę. **Z bratem spotkał się pan w „Mężu i żonie”.**

– Pierwszy raz partnerowaliśmy sobie na scenie. Wcześniej kilka razy spotkaliśmy się w radiu, bodaj w trzech słuchowiskach.

Wyczuwam, że na nowo rozsmakował się pan w aktorstwie. Zdarzyło się panu jeszcze czytania kwartetów Tadeusza Słobodzianka.

– Teatr Dramatyczny znalazł na te czytania ciekawą formułę. My, aktorzy, czytaliśmy swoje kwestie z teledymów ukrytych za partnerami, co dawało wrażenie pamięciowego opamiętania tekstu niczym w gotowych profesjonalnych przedstawieniach.

Dwa zrealizowane w ten sposób dramaty miałem okazję przygotować z Aldoną Figurą i Anną Wieczur. I chyba ma pan rację, faktycznie na nowo poczułem frajdę z uprawiania pierwszego z moich zawodów wyuczonych. A co będzie dalej, zobaczymy, czas pokaże. Półtora roku temu myślałem, że jadę do Łodzi na trzy lata.

Trzeba odwagi u autora, żeby się nie bał poważnemu tematowi przyłożyć gęby komedii, żeby o sprawach bardzo ważnych nie opowiadać na kolanach.

A tu pobyt się skrócił.

– Po prostu stwierdziłem, że nie wytrzymam. W niedzielę wieczorem ręce mi się trzęsły, głowa bolała, nie mogłem zasnąć, jak pomyślałem, że w poniedziałek znowu będę musiał tam pojechać. Ten „Amadeusz” przyszedł zupełnie nieoczekiwanie. Byłem umówiony z Anią Wieczur, że w roku 2023 zrealizuję w Teatrze Jaracza w Łodzi przedstawienie. Kiedy podjąłem decyzję, że odchodzę, zadzwoniłem do niej, żeby powiedzieć, że sprawa jest nieaktualna. Ania zapytała: „Co teraz będziesz robił?”. Powiedziałem, że mam teraz „Męża i żonę” w Teatrze Polonia, może wrócę

do grania. „Będę pamiętać”, odpowiedziała. Nie minęły trzy dni, a ona dzwoni i mówi: „Słuchaj, aktor, który miał grać Amadeusza, złożył podanie o urlop bezpłatny, bo dostał jakiś film czy serial, zagraj!”. To taka rola, której się nie odmawia. Wcielić się w rozkaprzonego, genialnego dzieciaka to prezent dla aktora.

Spektakl robi wrażenie.

– Na mnie też. Pierwszy raz grałem w Teatrze Dramatycznym.

Szkoda, że nieliczna, ale dobrze umocowana grupka szkodników utrudnia pracę w miejscu o takim potencjale jak łódzki Teatr Jaracza.

Wzruszyłem się, kiedy podczas oklasków zobaczyłem ludzi stojących od moich stóp aż po sufit, po ostatni balkon, a na kolejnych spektaklach stojących w przejściach, na schodach, gdzie tylko się dało, bo przedstawienie cieszy się ogromnym powodzeniem. To naprawdę niesamowite, kiedy się wychodzi w Dramatycznym do ukłonów, zwłaszcza w kontekście mojego powrotu po kilku latach przerwy od aktorstwa. Znowu mam apetyt na granie.

A mówi pan, że nie wie, co los przyniesie, choć wiadomo, że należy pan do ludzi wyjątkowo dobrze

się jako reżyser z aktorami Teatru Współczesnego. Później najprawdopodobniej wrócę do Teatru Polonia, najpierw jako aktor, a potem jako reżyser.

Widać, że pozostaje pan wierny swojej dewizie, że trzeba planować.

– Nie zaprzeczam, ale nie wiadomo, co życie przyniesie. Też byłem umówiony na kilka rzeczy, kiedy dostałem nagłe „Sługę narodu” i trzeba było zmieniać plany.

Tytuł serialu kojarzy się ze służbą publiczną, ale także z misją aktora, nawet jeśli brzmi to nieco patetycznie, jeżeli nie podejrzenie.

– Żyjemy w czasach, kiedy nazwa „narodowy” nieco się zdewaluowała, ale jeśli ma pan na myśli, że jako aktor jestem dla publiczności i spektakle przeze mnie reżyserowane są po to, żeby publiczność chciała je oglądać, to tak – tak rozumiej swoją pracę. Nigdy nie robiłem przedstawień dla wąskiego grona przyjaciół czy krytyki albo traktując je jako formę autoterapii, tylko zawsze pytałem, czy widz będzie ciekaw tego świata, który proponuję, i czy to będzie dla niego komunikatywne.

Tymczasem jesteście „tutej”, jak by powiedział Ethan, postać z pańskiej sztuki „Sieroty z Waterkness”. Dotrzymał pan słowa i nie napisał następnej sztuki?

– Dotrzymałem.

Ale coś chodzi panu po głowie?

– Nie zarzekam się, chodzą mi po głowie dwa pomysły, dotąd jednak nie wykrociłem czasu, aby się zająć pisanem dramatów na serio. Poza „Sierotami...”, ale wtedy to było naprawdę przymusowe zadanie podczas studiów reżyserskich.

To już kokieteria – jak się jest przyznanym, to niekoniecznie trzeba pisać coś na takim poziomie.

– Dziękuję, ale umówmy się, że to zasługa Martina McDonagha, bo to popłuczyny po nim.

Widzę, że postanowił pan umniejszać swoje zasługi – przypominę,

zorganizowanych. Nie wierzę, że pan nie wie, co go czeka.

– No dobrze, umówmy się, że plan na dwa lata mam. Myślałem, że mówimy o perspektywie 10-20 lat. Wiele może się zmienić. Na razie kręcimy „Sługę narodu”. Jak skończymy pierwszy sezon, wracam do reżyserowania, najpierw w Tito Productions, gdzie zrobiłem wcześniej „Dobrze się kłamię”.

Bardzo zgrabna robota.

– Myślę, że na rynku rozrywki to bardzo przyzwoite przedstawienie. Tam będę robił kolejną inteligentną komedię, a potem na zaproszenie dyrektora Macieja Englerta spotkam

► że sztukę drukował „Dialog”, który raczej wystrzega się „popłuczyn”.

– Trochę mnie to bawi – ja jako drukowany w „Dialogu” autor, który napisał raptem jedną sztukę.

Padło nazwisko McDonagha, bo musiało przy okazji tekstu, o którym mówimy. Dramaturg należy do pańskich ulubionych, to jasne, ale czy wśród polskich autorów znalazł pan swojego McDonagha?

– McDonagh jest oryginałem. W jego utworach świat brutalny zderza się z czułością, tak jaskrawego połączenia w polskiej twórczości dramatycznej nie widzę. Michał

wliczając w to autora i pedagoga. **Pedagogikę nadal pan uprawia?**

– Tak, w Akademii Teatralnej czekają mnie w tym roku zajęcia z pierwszym, trzecim i czwartym rokiem. Jan Englert zawsze mówił, że praca z młodymi pozwala mu trzymać rękę na pulsie. Żeby dotrzymać kroku zmianom.

Publiczność przez lata pańskiej pracy zmieniała się?

– Trudno powiedzieć. Warszawa nie jest też specjalnie reprezentatywna. Mam pewne doświadczenie po dyrekcji w Tarnowie, gdzie publiczność cały czas była otwarta. Jeżeli

Słyszałem też, że gdy zaczęła się wojna w Ukrainie, w teatrach niepublicznych sprzedaż biletów spadła momentalnie o 30%. Inne sprawy zaprzatają głowy widzów. Reasumując, publiczność po pandemii wróciła, ale sytuacja geopolityczna sprawiła, że jest jej mniej.

I teatr – zawsze niedoinwestowany – ma mniej pieniędzy.

– Tym bardziej cieszę się, że ktoś się odważył zrobić „Amadeusza”. Przedstawienie, które, owszem, kosztuje, ale mam wrażenie, że to czuć. Widać, że jest zrobione z szacunkiem dla widza, żeby mu zaofiarować coś totalnego, czyli taki teatr, który rzadko można zobaczyć. Wiele osób potwierdzało to odczucie.

Widać tęsknotę za teatrem, który gra nie tylko „Męża i żonę”, czyli spektakle z czteroosobową obsadą, ale i tak potężne.

– Lubię kameralne spektakle, ale to niejedyna droga, a szczególnie dla teatru publicznego. Prywatni producenci, z którymi współpracuję, zwierali mi się, że świetnie im się oglądało „Amadeusza”, ale na oklaskach nie mogli dojść do siebie, bo mają nawyk liczenia osób na scenie. Dostawali na ich widok palpitacji serca. Jasne, nie każdy teatr może sobie na to pozwolić. Ale chyba Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy raz na jakiś czas może tę potęgę teatru pokazać. **Zobaczmy, co pokaże przyszłość.**

Ma pan jakieś wróżby?

– Pyta pan o teatr?

Tak, a więc też o przyszłość świata.

– Jak przyszłości świata nie ośmieli się wywróżyć, tak i w dziedzinie teatru jestem za słabym wieszczem. Mam nadzieję, że teatr będzie nadal ludziom potrzebny. Wiem, że jestem w mniejszości, ale nie wyobrażam sobie życia bez teatru. Zawsze do teatru wracam – czy jako reżyser, czy jako aktor, czy jako widz. Może teatr będzie mniej widowiskowy, kiedy wzrosną koszty produkcji, dominować pewnie będą spektakle kameralne, niskobudżetowe. Ale na zapraszanie widzów do światów, które im proponujemy, nadal będzie miejsce. I mam nadzieję, że nie będzie to repertuar tylko rozrywkowy w najbanalniejszym znaczeniu.

Tomasz Mitkowski



W tytułowej roli w spektaklu „Amadeusz”.

Walczak czasem zahaczał o takie klimaty, coś z Tarantina, ale kogoś, kto by tak budował świat jak McDonagh, nie znajduję. Aczkolwiek moim ostatnim odkryciem jest Magdalena Drab. To autorka wyczulona na słowo, dźwięk, na frazę, genialnie konstruuje dialog – a to rzadkie, część dramaturgii współczesnej ucieka od dialogu, posiłkuje się monologami, najlepiej wywiedzionymi z autopsji. „Słabi” Magdy Drab, których robiliśmy w Jaraczu, to połączenie bardzo tragicznego tematu z groteskową formą. Trzeba odważyć u autora, żeby się nie bał poważnemu tematowi przyłożyć gęby komedii, żeby o sprawach bardzo ważnych nie opowiadać na kolanach, nie rozczulając się za bardzo nad bohaterami.

Doliczyłem się pięciu czy sześciu pańskich zawodowych wcieleni,

tylko ktoś do niej mówił z szacunkiem, to chętnie oglądała zarówno komedie, jak i współczesne dramaty. W Tarnowie na te współczesne nowości było wprawdzie mniej chętnych, ale byli. Teraz jeżdżę z dwoma spektaklami, które są inteligentnymi komediami, ale pobrzmiwają w nich tematy serio i widzowie bardzo dobrze je odbierają. Nie mam wrażenia, że publiczność jakoś szalenie się zmieniała w ostatnim czasie.

A pandemia?

– To był trudny moment, fakt. Drżeliśmy o to, czy widzowie wrócą do teatru. Ale wrócili. Chyba więcej zmienił kryzys, który z pandemią jest związany – mówię o kryzysie ekonomicznym, obecnej inflacji. Ludzie po prostu zaczynają szukać oszczędności. A wiadomo, że najłatwiej zrezygnować z wydatków na kulturę.

KURTYNA W GÓRĘ

Wyśpiewana radość z lektur

Zgrabnie napisany tekst z wpadającymi w ucho piosenkami, w sam raz dla dzieciaków z podstawówki, które chcą zobaczyć siebie trochę w krzywym zwierciadle, trochę w świetle baśni. Michał Walczak spoił całość miłością do postaci z lektur, osłodził stosowną dawką informatyki i w ten przewrotny sposób napisał interaktywną komedię muzyczną dla dzieci – trochę w stylu swoich opowieści kabaretowych – o potrzebie czytania.

Akcję oczywiście ułożył na Targówku, zgodnie z przyjętą za jego dyrekcji optyką: myślimy globalnie, działamy lokalnie. Szkoła podstawowa, nowy uczeń



– przybysz z krainy baśni, kolega Syrenek, i rada pedagogiczna, której perypetie młodzi widzowie śledzą, to szkoła z Targówka, gdzie, jak wiadomo, szkoły są najlepsze. Dzieci bawią się wyśmienicie, aktorzy łapią z nimi kontakt błyskawicznie, widownia aż rwie się do działania

i występowania. Cóż chceć więcej? Chyba tylko więcej takich sympatycznych produkcji z nienatrętną dydaktyką w tle.

Tomasz Miłkowski

„Mały Syrenek”, scenariusz i reżyseria Michał Walczak, Teatr Rampa, premiera 17 września 2022

NA POWAŻNIE



Przed śmiercią chrzest

Historia operowa budująca. Clorinda, wojownicza sara-ceńska, przebita mieczem przez krzyżowca Tankreda, poprosiła o chrzest. On przyniósł w hełmie wody i uratował duszę dziewczyny. W nowym przedstawieniu Polskiej Opery Królewskiej nie oglądamy jednak (ani nie słuchamy) niebiańskich rozkoszy. Tego włoski kompozytor nie śmiał zilustrować muzyką, za to mamy apetyczny obrazek z piekła. Akcja przedstawienia opartego na madrygalach Monteverdiego toczy się śpiewająco i tanecznie.

Bronisław Tumiłowicz

Claudio Monteverdi, „Si dolce è'l tormento”, kierownictwo muzyczne Krzysztof Garstka, reżyseria Ryszard Maciej Nyczka, Polska Opera Królewska, premiera 11 września 2022

FESTIWAL

Grand Festival Róbrege

To najstarszy festiwal muzyki alternatywnej w stolicy, jego historia sięga 1983 r. Reaktywowany w 2013 r. przez Stołeczną Estradę, od 2018 r. dedykowany jest jednemu z założycieli, Robertowi Brylewskiemu, legendzie polskiej sceny undergroundowej.

Idea imprezy niezmiennie jest wyszukiwanie młodych muzycznych buntowników, którzy nie liczą na komercyjny sukces. Ich muzyka ma pozytywny i autentyczny przekaz. Nie są to wyłącznie zespoły wykonujące reggae, na festiwalu występują m.in. grupy punkowe czy nowofalowe. Tym razem usłyszymy: Sekatory, Shashamane, Swayzee, Waluś Kraksa Kryzys i gościa z Londynu – Kiko Bun, a w przerwach między koncertami zagra skład NT Collective.

(ap)

WARSZAWA, KLUB PALLADIUM, UL. ŻŁOTA 10, 1 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 17



MIĘDZY OKŁADKAMI

Ruth Ware

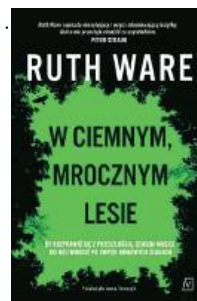
W ciemnym, mrocznym lesie

tłum. Anna Tomczyk

Czwarta Strona, Poznań 2022

O strzelbie Czechowa mówi już na początku jeden z bohaterów. Broń wisi nad kominkiem w salonie nieprzytulnego, przeszklonego domu stojącego w lesie. Goście, przybyli na wieczór panieński, są tu jak okazy w gablocie wystawio-

ne na spojrzenia, gdyby ktoś czaił się wśród drzew. Rozczarowania nie będzie – skoro zostało to zapowiedziane, strzelba wypali. Imprezę, już i tak mało radosną, uwieńczy zabójstwo. A może morderstwo? To historia z gatunku wszyscy jesteśmy podejrzani, przy czym w gronie i tak nielicznym na prowadzenie wysuwa się narratorka.



Co gorsza, z kluczowych wydarzeń nie pamięta prawie nic... Thrillery Ruth Ware są kameralne, zręcznie zwodzą, a bazują na ponurych zaszłościach. U nas ukazały się wcześniej trzy, ten czwarty akurat był debiutem Brytyjki. Skutecznie zniechęca do od-

nawiania starych znajomości.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogółkiewicz

47. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI

Wzrost, wymiary, znaki szczególne

Nasza mała stabilizacja – tak można podsumować urobek rodzimego kina za ostatni rok. Talentów niewiele, ludzi zdolnych sporo, pracowitych najwięcej

Wiesław Kot

No i nareszcie polski film się europeizuje. Późno, bo późno, ale zawsze. W tym roku w gdyńskim konkursie startowało rekordowe siedem polskich filmów ze znaczącym wkładem międzynarodowym. To jedynie wzmocnienie trendu, który w Europie jest oczywistością. Powtórzmy wyraźnie, co i tak wiadome: to, co od dobrych kilku lat trafia z Europy na nasze ekrany, to projekty składkowe – w każdym sensie. Film kręci się np. w plenerach włoskich, z francuskimi aktorami, częściowo po angielsku, z hiszpańskim zespołem operatorskim, pod kierunkiem angielskiego reżysera, za pieniądze niemieckie. Notowaliśmy u nas podobne precedensy, od kilku lat coraz częstsze. Film „Moja cudowna Wanda” z zeszłego roku opowiadał o Polce, która opiekuje się (w szerokim sensie) starym i zamożnym Szwajcarem, by utrzymać rodzinę w Polsce. Ową Wandę grała Agnieszka Grochowska, w epizodzie pokazał się Cezary Pazura. Pozostałe grono aktorskie rekrutowało się ze Szwajcarii, Luksemburga, z Austrii i Niemiec. Reżyserka Bettina Oberli jest Szwajcarką, kręciła za (składkowe) pieniądze pochodzące z jej ojczyzny, na temat, który jest istotny dla całej Europy pozostającej w stanie migracyjnego fermentu.

Kino polskie, kino składkowe

W tym roku podobną kooperatywę zademonstrował główny laureat (poczwórne Złote Lwy), film Agnieszki Smoczyńskiej „The Silent Twins”. Bo tak: pani reżyser legitymuje się specjalistycznymi studiami na

Uniwersytecie Śląskim i w Mistrzowskiej Szkole Andrzeja Wajdy. Jej film „Córki dancingu” (2015), nakręcony za polskie (składkowe) pieniądze i z polskimi aktorami, przywoził laury z całego świata: od USA (Sundance), przez Kanadę, po Sofię. Polski widz mógł wprowadzić rozpoznać niepowtarzalnie wnętrza warszawskiego domu towarowego Sezam, ale to były tylko udatne dekoracje do opowieści o dwóch syrenach. Na ekranie panowały nadmiar, bezguście i kicz, w fabule jazda bez trzymanki, ale właśnie to zachwyciło wymagającą festiwalową publiczność. Do tego stopnia, że film Smoczyńskiej okrzyknięto najnowszym objawieniem stylu kamp (dzieło jest tak złe, że aż dobre), prowokującego widza ironią i postmodernizmem.

Nic dziwnego, że Smoczyńska poszła za ciosem i na tegoroczny festiwal zaproponowała „polski film europejski” – tylko jeszcze bardziej. „The Silent Twins” opowiada autentyczną historię bliźniaczek June i Jennifer Gibbons, córek czarnych karaibskich imigrantów osiadłych w Walii na początku lat 60. ubiegłego wieku. Lekceważone i zastraszane w szkole, odmawiały jakichkolwiek kontaktów z otoczeniem i przez lata zachowywały wobec niego całkowite milczenie. Odwrotnie w kontaktach wzajemnych – tu porozumiewały się we własnym języku. I więcej: wymyślały, spisywały i rozsyłały na konkursy literackie i do wydawnictw barwne i szalone opowieści z życia kalifornijskich playboyów, w których kicz i operowa przesada sięgały absurdu. Przypadek „milczących bliźniaczek” przeszedł na własność psychiatrii światowej, która poczyniła dzięki niemu postępy w badaniu idioglosji (dziecięcy język

indywidualny), kryptofazji (mowa zrozumiała tylko dla bliźniąt) i katonii (radikalne zerwanie kontaktu z otoczeniem).

Tę historię najpierw opisała w książce „The Silent Twins” (1986) brytyjska dziennikarka Marjorie Wallace, co spowodowało, że bliźniaczkami zainteresowali się dokumentaliści z różnych stron świata. Później BBC nakręciła o nich serial, a losy dziewczynek wyśpiewano w aż dwóch operach. Po przeszło 30 latach brytyjską książkę przerobiła na potrzeby filmu amerykańska scenarzystka Andrea Seigel. Pieniądze na film wyłożyły Polska, Anglia i USA. Bliźniaczki zagrały Brytyjki: Letitia Wright (pochodząca z Gujany) i Tamara Lawrance. Katarzyna Lewińska obmyśliła kostiumy, a Marcin Macuk i Zuzanna Wrońska skomponowali muzykę, gęsto przetykaną amerykańskimi hitami z epoki. No i Polka jako reżyserski koordynator całości, wciąż ze skłonnościami do kampu, bo to kocha i hołubi, jako własny znak firmowy. Te wszystkie koligacje „The Silent Twins” wyluszczaamy tak drobiazgowo, by pokazać, że dzieło o nośności światowej, pełne zrozumienia, taktu i współczucia, może się urodzić na przecięciu polskiej wrażliwości, angielskiego losu i światowych pieniędzy. A my tym samym brawurowo i z ulgą opuszczamy filmowe getto „przeklętych polskich pytań”.

„Orzeł” na wysypisku historii

W tym kierunku poszedł również film, który nawiązywał do – wydawałoby się – arcy patriotycznej, niekwestionowanej i monumentalnej legendy ostatniego rejsu naszego okrętu podwodnego ORP Orzeł,



Bohaterki „The Silent Twins”, lekceważone i zastraszone w szkole, odmawiały kontaktów z otoczeniem i latami milczały.

który z niewyjaśnionych przyczyn zaginął na Morzu Północnym wiosną 1940 r. Do tej historii wrócił Jacek Bławut, dając jako scenarzysta i reżyser własną symulację tamtych wypadków w filmie „Orzeł. Ostatni patrol” (cztery statuetki). Że hurra-patriotycznie nie będzie, można było założyć na wstępie, ponieważ załoga nie zginęła w trakcie brawurowego ataku. Reżyser upomniał się więc nie o zapomnianą legendę (poprzedni film o naszym okręcie Leonard Buczkowski nakręcił w roku 1958), lecz o prawo bezdyskusyjnych bohaterów do śmierci zwyczajnej, pospolitej, na którą nikt nie zwróci uwagi.

W filmie mamy bowiem nie opowieść, lecz ciągnącą się w nieskończoność sytuację ocierania się załogi burtą o śmierć. Rozmowy, z których nic nie wynika, reakcje nadmiernie ospałe lub histeryczne, wreszcie załoga, która nie tworzy żadnej struktury, a już najmniej wojskowej. To tylko (jeszcze) żywe obiekty zasłuchane w chrzęst żelastwa, które komunikuje w języku znanym wyłącznie im, że nadchodzi nieuniknione. Nie ma więc mowy o martyrologii, trudno też posądzić autora filmu o zamiar podgryzania patriotycznych mitów. Nie wybrzmiewa nawet sytuacja



osaczenia tych mężczyzn zapuszkowanych w brzuchu maszyny. Zostaje niedomówienie i pospolitość. Nasi bohaterowie z podręczników historii jako „ludzie bez właściwości” i typy nijakie? Tego jeszcze nie grali. Ciekawe, czy się przyjmie.

Polak bierze wojnę w nawias

W poprzek narodowym mitom poszedł także „Filip” wyreżyserowany przez Michała Kwiecińskiego na kanwie powieści Leopolda Tyrmanda z roku 1961. Na język scenariusza filmowego 20 lat temu przekładał ją już Krzysztof Teodor Toeplitz – wówczas nikt się tym nie zainteresował. A teraz Kwieciński relacjonuje historię Żyda z warszawskiego getta, któremu cudem udaje się wymknąć na wolność. Mało tego – przenika do Reichu, tu podaje się za Francuza

i zatrudnia jako kelner w restauracji ekskluzywnego hotelu we Frankfurcie nad Menem. Filip mógłby się przycząić, ciesząc się, że udało mu się uniknąć zagłady albo przynajmniej ją odroczyć, ale – nie! Filip postanawia wziąć tę całą wojnę – wraz z Holokaustem, którego był świadkiem – w nawias. Udawać, że wojny nie ma, a przynajmniej, że ona jego, Filipa, nie dotyczy. Kiedy gestapo arestuje jego kumpli, udaje, że tego nie widzi. Doskonale rozumie, że lojalność lojalnością, ale tak naprawdę liczy się wola przetrwania. Bawi się więc i romansuje z Niemkami na prawo i lewo, narażając się, że za współudział

W filmie „Orzeł. Ostatni patrol” reżyser upomniał się nie o zapomnianą legendę, lecz o prawo bohaterów do zwyczajnej śmierci.

w akcie „pohańbienia rasy” wysłał go do Dachau. A kiedy zachce mu się prywatnej wojny z Hitlerem, upokarza niemieckie kochanki. „Masz obrzydliwe ciało, starzejesz się, więdniesz – a czas ucieka. Niedługo nikt cię nie dotknie, bo Niemcy nie wrócą z frontu”, mówi jednej z nich.

Z tym wszystkim Filip jest bliskim krewnym Dwidziusia Górkiewicza z „Eroiki” (1957) Andrzeja Munka. Takie antyheroiczne typy błakają się nieustannie po naszej literaturze i filmie, choć w ostatnich latach prawie się ich nie widuje. Przypominamy: ▶

► warszawski rodak, Dzidzius Górkiewicz, miał załatwić powstaniu wsparcie w postaci oddziału wojsk węgierskich (plus artyleria) stacjonującego pod Warszawą. Ale zamiast stawić się na czas z odpowiednim meldunkiem – załatwił mordę. Wsparcie mogło odwrócić losy powstania, mogło tym samym odmienić całą powojenną historię Polski. Nic z tego. Bo jedyny patriotyczny gest Dzidziusia polegał na tym, że „poszedł z butelką na czołgi” – niechcący rzucił w niemiecki czołg pustą butelką po winie. Dziś za podobną scenę z udziałem powstańca warszawskiego reżysera spalono by publicznie na stosie. A tymczasem Andrzej Munk spokojnie sobie zginął w wypadku samochodowym pod Łowiczem. Na szczęście zdążył stworzyć inspirację dla kolejnych Dzidziusiów i Filipów, których w naszej historii było więcej, niż chcemy przyznać.

Sztuka zanikania

Światowe trendy – sporo spóźnione, ale zawsze – przełożyła na film rodzimy dokumentalistka Beata

Dzianowicz. Alzheimer od co najmniej dziesięciu lat wiedzie prym wśród chorób uznawanych przez filmowców za inspirujące i warte artystycznej interwencji. Przykładami można sypać: „Motyl. Still Alice”, „Rower, tyżka, jabłko”, „Daleko od niej”. Nasze tegoroczne „Strzępy” lokalizują alzheimera w wielopokoleniowej, kochającej się rodzinie u jej nestora, profesora uniwersytetu (Michał Żurawski), dumnego z pojemnej pamięci, błyskotliwej inteligencji i poczucia humoru. I teraz profesor, któremu zdarza się nasikać do kwiatków w trakcie wykładu, zaczyna zanikać. Coraz więcej zapomina, traci orientację, nie wie, kim jest ani kim są ludzie, którzy go otaczają.

Podobne sceny oglądaliśmy wiele razy, ale wartością dodaną naszego filmu jest trzymanie się – kłania się wieloletnia szkoła dokumentu reżyserki – tak blisko realiów choroby i pielęgnacji chorego, jak to tylko możliwe. Oglądamy detalicznie, jak Alzheimer niszczy strukturę mózgu jednego starego człowieka, ale i tym samym rujnuje całą rodzinną strukturę.

No i film zadaje pytanie: do którego momentu rodzina powinna dźwigać na własnych barkach opiekę nad chorym, który jest taki sam, ale nie ten sam. Cóż, wprawdzie trochę to podpatrzone, ale wykonane z talentem.

I *people's choice* gdyńskiego festiwalu, nagroda publiczności dla filmu „Johnny” (w reżyserii Daniela Jaroszka), ekranowego portretu ks. Jana Kaczkowskiego, słynnego „duszpasterza trudnej młodzieży”. Sympatia widowni jest zapewne wyrazem społecznego głodu. Bo oglądamy tu księdza w bliskim kontakcie z (niełatwymi) ludźmi, a nie w liturgicznych wdziękach w czasie deklamacji od ołtarza mającego w głębi świątyni. To radykalnie skraca i zmienia perspektywę. Do ks. Kaczkowskiego ludzie spontanicznie się kleili, jak trzy dekady wcześniej do ks. Tischnera. Odnosiło się wrażenie, że innych księży w naszym kraju nie ma. A jeżeli są, to niezauważalni lub niepotrzebni. Może „Johnny” powinien awansować na materiał szkoleniowy w seminariach?

Wiesław Kot

Brakuje 3200 zł, by ocalić Grosika! Czas tylko do piątku...

Zamknij oczy. Pozwól mi. Nie zabraniaj.

Zamknij tylko na chwilę. Bo bolą mnie. Bo widział, choć nie chciał. Ten bat co ciął powietrze. A potem skórę. Widział tę rękę, która wymierzała razy w moją głowę, gdy upadłem.

Nie chciałem patrzeć. Ale kazali. Ich krzyk otwierał mi oczy. Ich krzyk kazał mi wstać i iść dalej. Choć chciałem stanąć i stracić wzrok. Modliłem się, by Bóg zabrał mi wzrok. Inaczej wzrok zabierze mi wiarę.

Nie zabrał.
Nie posłuchał.
Może akurat był zajęty.
Ma tyle na głowie...

Zamknij te cholerne oczy. Pozwól mi. Tylko na chwilę. Nim po mnie przyjdą. Jeszcze chwilę pozwól mi marzyć. Marzyć i tlić nadzieję, że było warto.

Warto wstawać i iść, gdzie chcieli. Warto ciągnąć przez błota wielki wóz i warto orać pole. Warto było stawiać kopyto za kopytem na leśnych ścieżkach i ciągnąć te wszystkie drwa. Warto wyglądać ich tęskni co rano, i warto żegnać rżnięciem co wieczór. Powiedz, że było warto...

Zamknęłam oczy. Zobaczyłam moje pastwisko. Jeszcze raz. Zobaczyłam jak galopują ku słońcu i z wiatrem. Zobaczyłam poranne mgły i jesienne słoty.

Zamknij oczy, ze mną. Będę wiedział że nie widzisz moich ran na ciele, ani wystającego jak szczyty górskie kręgosłupa. Będę myślał, że moich siwych zapadniętych oczu też nie dostrzegasz. Będziemy mogli razem udawać. Udawać, że jestem inny, że tli się we mnie życie. Pozbądźmy chwilę w ciszy. Nim po mnie przyjdą. A gdy przyjdą, nie otwieraj oczu. Nie patrz, jak będę mnie szarpać. Nie patrz jak runę przed trapiem i jak batem wnoszą mnie na sam szczyt.

Nie otwieraj oczu.
Bo stracisz wiarę.

Trzymaj je zamknięte, aż wyjadę za bramę starym, terkoczącym żukiem. Aż opadnie kurz na drodze i rozwieje znowu wrześnie liście.

Otwórz oczy dopiero gdy oni zamkną moje. I nie żałuj mnie. Tak to bywa.

To nie jest świat dla starych koni.

Grosik stoi w skupie koni.

Pomóż nam go ocalić, nim jego oczy zamkną się na zawsze. Musieliśmy zebrać 6800 zł. Mamy przedłużony czas do **30 września**, by go wykupić. Zebraliśmy już część kwoty, brakuje jeszcze **3200 zł!** Bez Ciebie się nie uda...

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem GROSIAK na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488



Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

Od chorób przyzębia do udaru

Badania pokazały ścisły związek chorób przyzębia z występowaniem chorób sercowo-naczyniowych

Rozmawia Barbara Jagas

To, co dzieje się w jamie ustnej, ma przełożenie na zdrowie całego organizmu. Jakie są powiązania chorób przyzębia ze zdrowiem człowieka?

– Powiązania są bardzo duże, ponieważ nieleczone choroby przyzębia powodują przewlekły stan zapalny, a to prowadzi do wielu chorób ogólnoustrojowych. Badania pokazały np. ścisły związek chorób przyzębia z występowaniem chorób sercowo-naczyniowych.

Dlaczego?

– Dlatego, że bakterie znajdujące się w chorej tkance otaczającej ząb nie dość, że stymulują organizm do wydzielania substancji zapalnych do krwiobiegu, to jeszcze same potrafią się tam przedostać. Na przykład gdy badano blaszki miażdżycowe, zauważono, że były tam właśnie bakterie odpowiedzialne za stany zapalne przyzębia. Co to znaczy? Że mamy do czynienia z mechanizmem powodowania przez stan zapalny przyzębia szybszego powstawania blaszki miażdżycowej, czyli przyspieszania miażdżycy.

Choroba Alzheimera rozwija się dwa razy częściej w wyniku przewlekłych stanów zapalnych w organizmie.

Od zapalenia przyzębia do miażdżycy?

– No właśnie tak się dzieje. A następnie przyspiesza to przecież destabilizację blaszki miażdżycowej, co jest przyczyną udarów, gdyż te uwolnione fragmenty przedostają się do krwiobiegu; jeśli dotrą np. do serca, to będziemy mieli ostre incydenty wieńcowe, a jak przedostaną się do mózgu, będziemy mieli udary. Zostało to już udowodnione i sprawdzone.

**DR N. MED.
MACIEJ NOWAK**

– mazowiecki konsultant wojewódzki w dziedzinie periodontologii

Jakie jeszcze czyhają na nas niebezpieczeństwa?

– Choroby przyzębia mają wpływ na rozwój cukrzycy i otyłości, a szczególnie utrudniają ich leczenie. Z drugiej strony badania pokazują, że po wdrożeniu leczenia chorób przyzębia po upływie trzech miesięcy dochodzi do normalizacji glikemii,

to tak, jakby włączono drugi lek przeciwcukrzycowy. Wiadomo też, że cukrzyca wpływa na przyspieszenie rozwoju choroby przyzębia, a więc osoba, która utrzymywała w miarę dobrą higienę jamy ustnej i miała zdrowe dziąsła, gdy pojawiła się u niej cukrzyca lub otyłość, zaczyna mieć chorobę przyzębia. Natomiast my, stomatolodzy, a zwłaszcza periodontolodzy, jesteśmy w stanie poprzez badanie jamy ustnej określić,

kiedy zmiany w obrębie przyzębia są adekwatne do ilości występujących bakterii, a kiedy nie. I wtedy właśnie pytamy pacjenta, czy choruje na coś innego, a może bierze jakieś leki. Bo istnieje grupa leków, które mogą przyspieszać choroby przyzębia. Przede wszystkim będą to blokery kanałów wapniowych, cyklosporyna – lek immunosupresyjny stosowany po przeszczepach, i fenytoina, czyli stabilizator błon komórkowych używany w neurologii.

Jakie choroby ogólnoustrojowe można rozpoznać, badając jamę ustną?

– Przede wszystkim jesteśmy w stanie rozpoznać choroby krwi i białaczki. Wtedy występują właśnie zmiany nieadekwatne do ilości bakterii w jamie ustnej, przerosty lub rozrosty dziąseł, nadżerki i owrzodzenia, samoistne krwawienie z dziąseł. Na podstawie nasilenia objawów zapaleń przyzębia można także wykryć choroby śluzówkowo-skinne, czyli z pogranicza schorzeń ▶

► autoimmunologiczno-dermatologicznych, a więc liszaj płaski, pęcherzycę, pemfigoid, rumień wysiękowy wielopostaciowy, chorobę Dühringa, chorobę trzewną oraz wiele innych.

A jak to jest u chorego, który ma osteoporozę?

– Choroba przyzębia u takiej osoby będzie przebiegała bardziej intensywnie. Duży problem występuje u osób, które przyjmują leki z grupy bisfosfonianów, której czołowym przykładem jest prolia. Są to leki brane dość rzadko, bo raz na pół ro-

w przypadku jakiegokolwiek ingerencji w tkankę kostną, czyli np. usunięcia zęba, które z reguły goi się bez większych powikłań, dochodzi tutaj do nieinfekcyjnego zapalenia kości i bardzo dużych problemów – nawet martwicy kości. Tak samo musi uważać ktoś, kto poddaje się zabiegom implantologicznym, bo nie jest to całkowicie bezpieczne. Osoby w czasie przyjmowania prolii lub innych leków z grupy bisfosfonianów nie powinny mieć wykonywanych zabiegów chirurgicznych ingerujących w kość.

Z chorób przyzębia mogą wynikać niska waga urodzeniowa dzieci i przedwczesne porody.

ku lub rok, pacjent o tym zapomina i nie informuje stomatologa, a ma to ogromne znaczenie w przypadku np. usunięcia zębów bądź zabiegów związanych z regeneracją kości czy zabiegów implantologicznych. Leki te znacznie upośledzają regenerację kości. U osoby, która przyjmuje prolię, usunięcie zęba może być przyczyną bardzo dużych problemów. Bisfosfoniany to leki, które zamrażają metabolizm kości i z jednej strony w przypadku osteoporozy to dobrze, bo nie dochodzi do zaniku kości, ale

Czy lekarze o tym wiedzą?

– Nie do końca. Dlatego podkreślam, że pacjenci nie powinni być w tym okresie kierowani na tego typu zabiegi. Mają odczekać. Czasami ponad rok.

Co jeszcze może wynikać z chorób przyzębia?

– Niska waga urodzeniowa dzieci i przedwczesne porody. Rozprzestrzenianie się stanu zapalnego wywołanego nieleczoną chorobą przyzębia będzie tym zjawiskiem sprzyjało.

To znaczy, że choroby przyzębia wpływają na nasze potomstwo, w sensie dziedziczenia pewnych rzeczy?

– Oczywiście, to zresztą bardzo ciekawy temat. U osoby w ciąży, która ma chorobę przyzębia, dochodzi do pewnych zmian materiału genetycznego i potomstwo może być narażone na niektóre choroby, np. na cukrzycę, otyłość i właśnie choroby przyzębia. To samo mówi się w związku z paleniem tytoniu – u takiego pacjenta może dojść do zmian epigenetycznych, co ma potem wpływ na stan zdrowia dzieci.

Dochodzi do zmian w genomie.

– Właśnie. W tym kierunku są robione badania, z których wynika, że uszkodzenie materiału genetycznego np. poprzez palenie wpływa na genotyp przyszłego potomka. To samo dotyczy nieleczenia chorób przyzębia, jak wcześniej stwierdziliśmy – dzieci takiej osoby mogą być bardziej narażone na otyłość, cukrzycę, udary.

Mówi się o związku chorób przyzębia z alzheimerem.

– Tak, bo jak udowodniono, choroba Alzheimera rozwija się dwa razy częściej w wyniku przewlekłych stanów zapalnych, jakie mają miejsce w organizmie.

A jakie mamy zaległości w stosunku do innych krajów, jeśli chodzi o wiedzę z dziedziny periodontologii?

– Wiedza i technika są na tym samym poziomie na pewno. Natomiast dzieli nas świadomość zdrowotna. W Polsce większość pacjentów, którzy trafiają do stomatologa, nie mówiąc już o periodontologu, przychodzi tam doraźnie, z powodu bólu, urazu lub przyczyn estetycznych, a nie na regularną kontrolę.

Co można powiedzieć o współpracy periodontologa z innymi lekarzami i jak to powinno wyglądać?

– Są różne zalecenia wydawane przez towarzystwa naukowe, ale brakuje wiedzy na temat tego, czym się zajmujemy. A przecież o tych powiązaniach z chorobami przyzębia powinni wiedzieć przede wszystkim lekarze rodzinni, ginekolodzy i pediatrzy.

Barbara Jagas



JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

**Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości
ginących cywilizacji i niezwykłych krain
oraz pokonywanie barier w warunkach
krańcowego obciążenia**

ATLANTYK SOLO

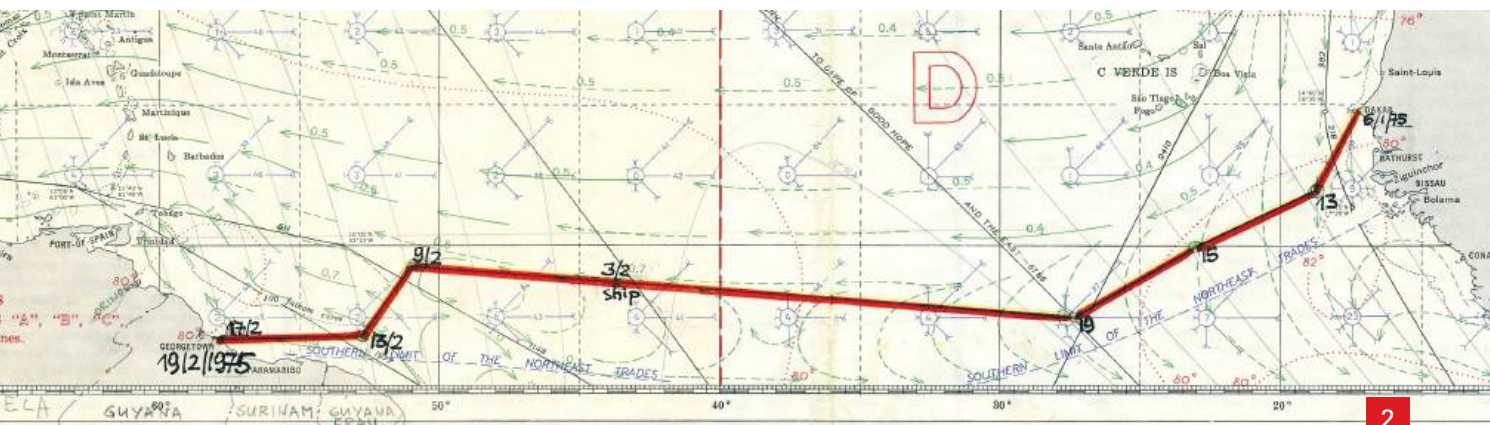
Byłem pod wrażeniem książki „Opowieść rozbitka” mało jeszcze wtedy znanego Gabriela Garcíi Márqueza – opisał on losy kolumbijskiego marynarza, który po zatonięciu okrętu dryfował przez dziesięć dni na tratwie, bez zapasów wody i jedzenia, by na wpół żywy wylądować na bezludnej plaży. Przykład jego heroicznej postawy, mocy ducha i wielkiego pragnienia życia z pewnością pomógł później uratować się z katastrofy niejednemu nieszczęśnikowi.

W 1975 r. chciałem wczuć się w rolę rozbitka i wyruszyłem pięciometrową łupinką z Dakaru na drugi brzeg Atlantyku, 44 dni stawiając czoła bezlitosnej rzeczywistości, swoim słabościom i lękom. Bez łączności ze światem zewnętrznym, bez sekstansu, jedynie z kompasem. Zbierałem deszczówkę oraz plankton wpadający do siatki z muszliny. Łowiłem ryby, które pocięte na kawałki i przeżute dostarczają bezcennego płynu.

To oceaniczne doświadczenie uzupełniało inne techniki survivalowe, które przyswajałem w różnych skrajnie surowych środowiskach. Przydawały się one, bo zwykle wędrowałem szlakami odległymi od utartych marszrut, a tam napotyka się różne przeszkody. W pewnym momencie stworzyłem we Włoszech szkołę przetrwania i poświęciłem trochę czasu na szkolenie kosmonautów, a potem także jednostek antyterrorystycznych. ▶



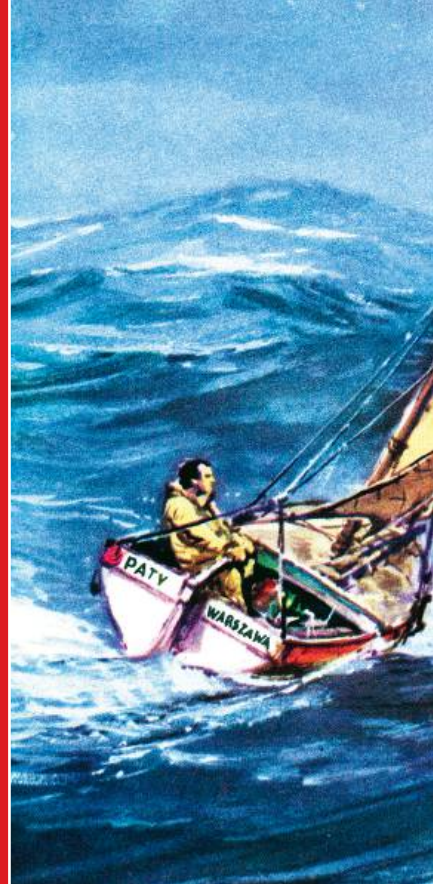
1



2



3



6

1. Przez Atlantyk w roli dobrowolnego rozbitka.
2. Trasa rejsu: Dakar-Georgetown.
3. Tuż przed startem.
4. Sztorm.
5. Kaszalot dwa razy dłuższy od szalupy.
6. Latające ryby na śniadanie, obiad i kolację.
7. Sztorm pozbawia pojęcia przestrzeni i czasu.
8. Dziennik pokładowy.
9. Po 44 dniach w Georgetown (Gujana).
10. Radosny nastrój.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



Jacek Palkiewicz –
reporter, eksplorator,
odkrywca źródeł
Amazonki, twórca
survivalu w Europie;
www.palkiewicz.com



7



4



5

Dziennik S. G. 1945

Kurs ~~na~~ 260°. Opatrzność Atmós-
kieru nie ma dymu, natomiast
chwilę udzielił, że jeśli woda nie
stanie mrozi, nie podda się - może się
zawieść i uderzyć.

Nie ma się składować, ani Tetraklis
z Sierfem. Tylko kłopoty.

Ocean zmienił formę, z niebies-
kiej na ciemnoniebieską. Głębokość
wody nie jest od 10m (z prędkością) do
15m (z prędkością) (prędkością) do
20m. Głębokość wody ~~nie~~ może być
kolos strasliwym, potężnym i ciemnym.

Bezpośrednio Ocean nie ma przepływu
ale i prędkości. Pożądanie prędkości
woda i prędkości.

G. G. 1945

Stawiam się zrobić coś z samolotem.

8



9



10

Piotr Dombrowski,
Paweł Sredziński

Na ogół to wiosna kojarzy nam się z amorami, jako czas towarzyszących ciepłej porze zauroczeń. Jednak łosie, podobnie jak jelenie, wybierają na amory schyłek lata i początek jesieni. Te pierwsze buczą, stękają, rżą, te drugie z kolei ryczą, znacznie donośniej niż łosie. I znacznie łatwiej zlokalizować samca jelenia niż samca łosia w tym okresie.

Burza hormonów przetacza się przez życie tych dwóch gatunków raz do roku. Wówczas samce zapominają o całym świecie. Niestety, przestają być ostrożne i zachowują się tak, jakby były otumanione miłością. Nie jedzą, tracą wagę i roznosi je popęd ukierunkowany na przedłużenie gatunku. Są jednak znaczne różnice w zalotach łosi i jeleni.

Zacznijmy od najgłośniejszych, jeleni, które nie zachowują się zbyt subtelnie. Biorą siłą harem, którego muszą upilnować przed innymi rywalami. W szczycie rykowiska – i to nie tylko o świcie i zmierzchu – możemy usłyszeć jelenia przez cały dzień. Niedoświadczeni turyści w Tatrach kojarzą czasem ten głos z niedźwiedziem. Jednak nie wszystkie rykowiska są tak spektakularne. Nie wszędzie to donośne ryczenie można usłyszeć. Są też ciche rykowiska. Niepokój, niekorzystne warunki atmosferyczne mogą zniechęcić jelenie do głośniejszych popisów.

Najgłośniejsze ryczenie słyszałem w Karpatach, na pograniczu polsko-słowackim. Tam razem z moim znajomym, który zajmuje się monitoringiem dużych drapieżników, miałem okazję przyjrzeć się jeleniom na rykowisku z bliska, a wręcz je poczuć. W tym akcie podniecenia gruczoły zapachowe dają znać o sobie i jelenia można nie tylko usłyszeć, ale i wywachać. Jego zapach podczas dorocznej rywalizacji jest ostry i intensywny. W czasie takiego zbiorowego otumanienia miłością znacznie łatwiej jest podejść samca. Natomiast samice jelenia zachowują wtedy zdrowy rozsądek i właściwie reagują na zagrożenie.



Łoś szuka miłości

Samce zapominają o całym świecie, przestają być ostrożne, nie jedzą, tracą wagę i roznosi je popęd

Stan podniecenia zwierząt wykorsztują myśliwi, którzy odczuwają niezrozumiałą ekscytację z oddania strzału w stronę zamroczonego zwierzęcia. (...)

Jelenie nie są subtelными zalotnikami. I nie chodzi tutaj wyłącznie o ich głośnie porykiwania. To, co muszą zdobyć, to nie akceptacja samic, które zostaną zapłodnione, ale kontrola nad harem i utrzymanie innych samców z dala od stada. To właśnie o rządzenie stadem samic toczy się główna rozgrywka.

Łosie tymczasem są wprawnyimi zalotnikami i nadzwyczaj czułyimi absztyfikantami, zwłaszcza jeśli porównamy je z jeleniami. Rzeczywiście, jeśli przyjrzeć się temu, jak mogą owe umizgi przebiegać, to właśnie nasz największy jeleniowaty ma najwięcej klasy. To łoś musi zabiegać o akceptację samicy. Delikatnie i bez gwałtownych samczych

zapędów znanych z rykowiska jeleni dochodzi do konsumpcji przelotnej znajomości. Bukowisko, czyli okres łosiowego buczenia i jęczenia, a może bardziej obrazowo – wzdychania za wybranką, może oznaczać, tak jak i u jeleni, bezpośrednią konfrontację z innym samcem. Jednak dramaty związane z taką walką następują w Polsce dość rzadko.

Więcej jest w tym okazywaniu swojej siły gry na pokaz niż agresywnej konfrontacji z innymi samcami. To samica tak naprawdę ma najwięcej do powiedzenia i może przyjąć lub odrzucić kandydata, który musi zgodzić się na jej warunki, w tym zaakceptować obecność jej podrastającego cielęcia, bo nierzadko świadkami tych zalotów jest właśnie łosiowe potomstwo. Podrostek czeka cierpliwie w sąsiedztwie, dopóki nie skończy się tête-à-tête dorosłych osobników. Małe są szanse, że widzi właśnie swojego ojca, bo łosie są

samotnikami bez stadnych preferencji bytowania, poza sezonowymi zgrupowaniami tych zwierząt, obserwowanymi głównie w chłodnej połowie roku. Obrotny samiec, który cieszy się powodzeniem, nie ograniczy się zresztą do jednej samicy. Prawdopodobnie spróbuje jeszcze parokrotnie swoich szans. Tym bardziej że taka okazja zdarza się tylko raz w roku.

Łoś ma również tę przewagę nad jeleniem, że może być podczas bukowiska w miarę spokojny o to, że nie trafi go żaden strzał z broni myśliwskiej. Od 20 lat obowiązuje moratorium, które de facto oznacza zakaz polowań na łosie, chociaż paradoks polega na tym, że łoś wciąż jest na liście gatunków łownych. Dotychczasowe propozycje wznowienia polowań na łosie wyraźnie wskazywały jako okres zabijania samców czas od 1 września do 30 listopada. To oznaczałoby polowania w okresie wzmożonej aktywności godowej tego gatunku. Mielibyśmy wówczas sytuację analogiczną do jelenia, którego też zabija się, korzystając z dorocznej burzy hormonów. (...)

Autor pierwszej polskiej monografii łosia Włodzimierz Korsak wymienia trzy rodzaje godowych głosów – „chrapnięcie, stękanie, czyli wab właściwy, i beczenie”. Chrapnięcie dotyczy obu płci i można usłyszeć ów głos również poza porą godową. Samiec może zazwyczaj chrapnąć głośniejszym głosem niż samica. (...) Jest też głos przypominający – zdaniem Korsaka – coś pomiędzy „rzeniem a beczaniem. Rzenie to wydaje łoś w chwili spółkowania albo bezpośrednio po nim”.

Wracając do owego samczego stękania, więcej w nim chyba płaciliwego zawrozenia niż odwagi dorosłego zwierzęcia, pewnego swojej pozycji. Tym bardziej że to samiec musi się postarać i zdobyć akceptację samicy. Nie ma w nim tego jeleniego basu, odważnie rozlegającego się w czasie rykowiska. (...)

Nie tylko Biebrza może być celem turystyki łosiowej. Oprócz Polesia czy sąsiadujących z nim Lasów Sobiborskich warto wybrać się na

spotkanie z łosiem do Puszczy Białowieskiej. Jego liczebność w Puszczy rośnie, chociaż innego zdania okazał się być Białowiecki Park Narodowy, który nie włączył się w trzeci Dzień Łosia, podając rzadkie obserwacje tego gatunku jako powód odmowy udziału w wydarzeniu.

Jeszcze przed Dniem Łosia spotkałem się z prof. Rafałem Kowalczykiem z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży. (...) Jego zdaniem Puszcza Białowieska staje się miejscem, gdzie warto przyjechać na obserwację łosi. Ich liczebność w Puszczy szacuje na ok. 200 osobników. Pamiętam, jak w czasach mojej pracy w charakterze łosiowego ochotnika na tablicach w pokazówce widniała liczba 50. A przypominę, że był to rok 1995. Potem liczebność łosi gwałtownie zmalała, a poprawa w tym zakresie wymagała 20 lat obowiązywania moratorium.

Łosie są wprawnymi zalotnikami i nadzwyczaj czułymi absztyfikantami.

Już w drodze do Białowieży, na rozmowę o łosiach, przez drogę za Płaskami przed naszym samochodem przebiegł samiec łosia. Nieśpiesznie truchtał polami, w sobie tylko znanym kierunku. I chociaż w Białowieży łosi już nie widzieliśmy, to prof. Kowalczyk przypomina, że w Puszczy są one od wieków, przy czym były okresy spadku ich liczebności, a wręcz łosiowej nieobecności.

Obecna populacja białowieska jest zasilana przez łosie ze wchodu i północy. Liczebność tego gatunku w Puszczy rośnie w siłę od czasu ogłoszenia moratorium. Są coraz częściej wykazywane w zimowych pędzeniach, które stanowią podstawę do szacowania liczebności zwierząt kopytnych. Co więcej, w polskiej części tego kompleksu leśnego mamy dziś już łosie osiadłe, a nie tylko osobniki przechodnie. Dlaczego łosie zostają w Puszczy? – pytam profesora. To przede wszystkim bogate w różne gatunki i różnicowane lasy, śródleśne mokradła i rozległe rzeczne doliny – usłyszałem

w odpowiedzi. Coraz częściej na łąkach nad Narewką można o świcie obserwować łosie. Kiedyś była to prawdziwa rzadkość. To dowód na to, że białowieska populacja zaczęła się odbudowywać.

Prof. Kowalczyk pokazuje nam zdjęcia łosi z poprzedniego bukowiska. Obserwował wtedy spotkanie kilku samców i samicy. Oglądanie takiego wydarzenia jak zaloty łosi we wrześniowej oprawie jest rzeczywiście wartym niewyspania rytasem. (...) Prof. Kowalczyk twierdzi, że Puszcza może pomieścić do 300-400 osobników, a białowieska populacja łosia jest dopiero na półmetku. Bo rzeczywiście ten las wydaje się stworzony dla tego gatunku. (...)

Cały rok czekam na wrzesień, w którym przez świat dużych ssaków kopytnych przetacza się burza hormonów, syjąc gromy raz za razem. Niestety, jak to burza, szybko przechodzi i z końcem września czuję wielki niedosyt, rozczarowanie i zmęczenie. Po letniej ciszy, kiedy nawet ptaki śpiewają coraz rzadziej, a muchy latają leniwie, wrzesień jawi się istną kakofonią głosów. Rozpędza się powoli, aby nagle zdominować dźwiękowo naturę.

Nieśmiałe zapowiedzi tego, co ma się zaraz wydarzyć, słyszymy już w sierpniu. Już wtedy w chłodne poranki młode byki jeleni niecierpliwie porykują, oznajmiając swoją gotowość, która zapewne w tym roku nie zostanie zaspokojona. Dojrzałe jelenie i łosie czekają na swój czas, świadome wysiłku, jaki przed nimi. Pierwsze dni września są jeszcze spokojne. Tylko po śladach widać, że już zaczęło się poruszenie. Jelenie, jak pojedyncze zwiady tatarskie, po cichu zajmują swoje stałe miejsca i areny. Z kolei samice łosia spokojnie trzymają się swoich terytoriów w oczekiwaniu na przyszłe dni. Co ma być, to będzie, nie trzeba się paniki przed czasem.

Jelenie są już wytarte, a ich poroża są gotowe na ewentualne sprzeczki, walki i imponowanie samicom. Łosie są jeszcze w trakcie tych przygotowań. Najmłodsze byki w scypule ▶

► pochodzą do połowy września, ale i te najstarsze potrafią całkowicie wytrzeć omszałe rosochy nawet pod koniec pierwszej dekady września.

Wydawało się, że ten ciepły rok 2020 spowoduje, że bukowisko przesunie swój początek nawet w okolice 20 sierpnia. Oczywiście nic bardziej mylnego i nie było co wyprzedzać faktów. (...) Biebrza pokazuje, że następstwem łagodnej zimy jest zwykle ciągnące się w nieskończoność ubogie przedwiośnie, niewnoszące niczego dobrego dla zwierząt. Wbrew wszelkim przewidywaniom ten rok okazał się modelowy. Nawet można było zauważyć lekkie ociąganie się łosi, jakby nie były do końca przekonane, że należy już rozpocząć gody.

Początek bukowiska u łosi był – jak na ten gatunek – energiczny. Pierwsze rujne samice były obstawione przez co najmniej kilku zalotników, z których ten najmocniejszy gwałtownie przeganiał rywali, wracał do samicy, a potem znów odstraszał inne byki. Kilka lat temu w okolicy Batalionowej Łąki z Grobli Honczarowskiej oglądałem niezły łosiowy spektakl. Dźwiękowo był ubogi, natomiast bardzo dużo się działo w warstwie wizualnej. Potężny byk z imponującym porożem przeganiał

trafił, zniknął mi z oczu, tak jak i ona. Pozostały tylko młode byki, które patrzyły to w kierunku, gdzie poszła kłepa, to na mnie. Stały trochę niezdecydowane, co robić. Po chwili ruszyły wolnym krokiem w ślad za kłepą i szalonym dominantem.

Było to 5 września. Okolica na kilka dni się uspokoiła. Wydawało się, że adorowana łosza zmieniała miejsce i nie ma co liczyć na dalszy ciąg tej historii na tym fragmencie bagna. Cztery dni później przyjechała na bukowisko

Bukowisko, okres łosiowego buczenia i jęczenia, czyli wzdychania za wybranką, może oznaczać bezpośrednią konfrontację z innym samcem.

ska ekipa z Bedonia, czyli niezawodni bracia Ogrodowczykowie. Waga i objętość sprzętu filmowego raczej nie zachęcają do dalekich, bagiennych wojaży, więc przyjechalśmy na Groblę Honczarowską, mając nadzieję, że jakiś litościwy łos pozwoli się zgrabnie sfilmować. (...)

Cisza nie zwiastowała rychłego spotkania z łosiem i nasze nadzieje na ujęcia zwiędły niczym czerwcowy obuwik. Widząc, że nicy z filmowania, Tomek Ogrodowczyk wartko trzasnął klapą samochodu, dobitnie

w naszą stronę. Nawet nie zamierzał się podnieść, lekko tylko obrócił potężne poroże, by jednym okiem typnąć z dala na źródło hałasu.

Zestaw filmowy został zmontowany piorunem i zwartym truchtem ruszyliśmy w kierunku łosiowej sielanki. Co kilkadziesiąt metrów przystawaliśmy, by Tomek mógł nakręcić kilkanaście sekund materiału. W czasie filmowania uważnie obserwowałem tę parę, bo było na co popatrzeć. Na filmach dokumentalnych z dalekiej

północy widuję czasem takie sceny, kiedy to wśród zakrzaczeń wierzbowych leży potężny byk, a wokół niego chodzi kilka samic, z których każda stara się mu przypodobać, niejako umizgując się, podszczypując go i trącając głową. Uległe wobec niego odstrasza się wzajemnie, często atakując przednimi nogami, tuląc uszy i jeżąc grzywę. U nas, nad Biebrzą, takie sytuacje nie mają miejsca, ale czasem widuję zachowanie takie jak u tej obserwowanej samicy. Byk leży niczym basza, a łosza chodzi wokół niego, zaczepia go, podskubuje mu uszy i ociera się łbem o jego szyję. Trąca go chrapami i nie odstępuje na krok. Inne samce nie mają czego u niej szukać. (...)

Obrotny samiec, który cieszy się powodzeniem, nie ograniczy się do jednej samicy. Tym bardziej że taka okazja zdarza się raz w roku.

konkurencję. Wpadał za nią w trzcinę, zawracał do kolejnych samców i przeganiał je w pobliską olszynkę. W centrum jego uwagi była łosza, która absolutnie nie wyglądała na spokojną. Kręcił się przy niej wyraźnie spłoszony łoszak. Byk dominant po wypłoszeniu słabszych samców zawrócił gwałtownie do samicy i zaczął ją gonić. Uciekała przed nim, robiąc kilka elips. Łoszak próbował nadążyć za matką, ale nie dał rady. W końcu samica szybko wróciła do młodego i wraz z nim zniknęła w trzcinach. Samiec pozostał sam na placu boju. Zdezorientowany kręcił się, szukając zapachu utraconej samicy, a kiedy wreszcie na ów aromat

wyrażając swój pogląd na sytuację. Jak na komendę z bujnych turzyc zaczęły się podnosić łosie. Absolutnie nie wydawały się zaniepokojone. Raczej z uwagą i pewną dozą znudzenia obserwowały intruzów. W sporej odległości od nas wstała też wspomniana już łosza. Zgadując, że to ona była powodem tego łosiowego zgromadzenia, spojrziałem przez lornetkę, czy czasem nie towarzyszy jej obserwowany wcześniej przeze mnie narwaniec. Był. Leżał jak James Bond po wykonaniu zlecenia i leniwie tylko strzygł uszami

Dla jeleni i łosi tuż po godach zaczyna się czas intensywnego żerowania przed zimą. Cały wysiłek tych dużych ssaków będzie skierowany na uzupełnienie strat masy ciała w okresie rui i nabranie krzepy na kolejne miesiące. Najprościej rzecz ujmując: we wrześniu – szalejemy w czasie zalotów, w październiku – konsumujemy i odrabiamy straty. I to właśnie dopiero w chłodne poranki października zobaczymy, jakimi łosiami Biebrza stoi.

Fragmenty książki Piotra Dombrowskiego i Pawła Średzińskiego *Łoś. Opowieści o gapiszonach z krainy Biebrzy*, Wydawnictwo Pańny Buriat, Kielce 2021



Wiedza, która szkodzi

Nie wiadomo, cieszyć się czy smucić. Zdzisław Raczyński wydał kolejną książkę, szpiegowski thriller zatytułowany „Janczarzy Kremla”. Akcja rozpoczyna się w Moskwie, pod koniec lat 70., w gronie polskich studentów. To już trzecia jego powieść. Pierwsza, „Harib”, także jest szpiegowskim thrillerem, z akcją rozgrywającą się w Libii. W drugiej, „Maku na powiekach”, autor wraca do liceum we wschodniej Polsce i jego tajemnic... Stop! To w końcu rubryka o polityce zagranicznej czy o literaturze?

O polityce zagranicznej, jak najbardziej. Otóż Zdzisław Raczyński to człowiek spraw zagranicznych. Studia zaczął na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Stamtąd przeniósł się do Moskwy, gdzie ukończył MGIMO, specjalizując się w Afryce Północnej. Potem pracował w Polskiej Agencji Prasowej, w redakcji zagranicznej. W latach 1990-1997 był korespondentem PAP w Moskwie – świadkiem upadku ZSRR, puczu Janajewa, rozstrzelania parlamentu, narodzin ekipy Jelcyna...

Po powrocie do Warszawy w latach 1997-2001 był doradcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, czyli Marka Siwca. W BBN odpowiadał za sprawy obszaru poradzieckiego. W maju 2001 r. przeszedł do MSZ, gdzie objął stanowisko dyrektora Departamentu Europy Wschodniej. I tą komórką, która różne miała nazwy i w różnych strukturach funkcjonowała, wiele lat kierował.

W centrali pełnił również funkcję dyrektora w Departamencie Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej,

był też dwukrotnym ambasadorem. W latach 2004-2007 w Tunezji, a w latach 2009-2014 w Armenii.

Chodzi zatem po warszawskich ulicach specjalista od spraw rosyjskich (dziś to najbardziej pożądana umiejętność), Kaukazu (znów jest tam gorąco) oraz Afryki Północnej (gaz, ropa...), mający unikatową wiedzę, bynajmniej nie emeryt, autor kilkuset publikacji, ale nasze MSZ go nie chce. Bo i po co? Po co jakąkolwiek wiedza i kontakty, skoro wystarczy mleć na okrągło banały...

To zresztą fenomen i Dudy, i Morawieckiego, i Raua, że pojmują dyplomację jako okrzyki, zupełnie nie rozumiejąc, że jest ona narzędziem do realizowania spraw bardziej skomplikowanych.

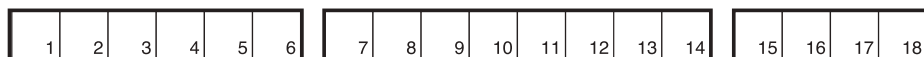
Cóż, taki los Raczyńskiego. Poza tym pracował w ekipie Kwaśniewskiego. No i jest absolwentem MGIMO, zna Moskwę, a to w oczach szefów MSZ bardzo podejrzane. Oni wszystkich, którzy kiedykolwiek studiowali w Rosji, już z MSZ wyrzucili. Ostatnie wypowiedzenia wręczali na dniach. Ewidentnie myślą kategoriami lat 50., czasów stalinowskich, kiedy wszystkich, którzy mieli kontakty z Zachodem, klasyfikowano jako ludzi do rozpracowania i zamknięcia.

Patrząc z tej perspektywy na kolejne książki Raczyńskiego, zasadne więc wydaje się pytanie: czy to dobrze, że je pisze i wydaje, czy źle? Dla czytelników, którzy dostają powieści osadzone w realiach, świetnie napisane, mające znakomite recenzje – to dobrze. A dla Polski?

Attaché



Kampania informacyjna „Żegnaj religio!” inicjatywy Same Plusy rozpoczęła się briefngiem pod Sejmem.



- jest nią każda hazardzistka
- studencki podręcznik
- rozczulające dziecko lub zwierzę
- rzeźbi w drewnie
- i przypuszczenie, i nieuczciwa operacja handlowa
- przygotowywanie, np. śniadania
- chłopiec wychowany przez małpy
- solanka po niej ścieka
- muza astronomii
- z Cardiff i Górami Kambryjskimi
- do kąpania niemowlaka
- państwem, bronią lub językiem
- Edmund ... Lipiński
- zastęga w galarecie

Rozwiązanie „JOLKI-1081” z nr. 37: *Kto chce, ten szuka sposobu.*
Nagrody otrzymują: Paweł Balus z Sosnowca, Zenon Lewiński z Dębina,
Zbigniew Żbikowski z Gorzowa Wielkopolskiego.

PENETRACJE



ROBERT SMOLEŃ,
FUNDACJA NAUKOWA
IM. A. FRYCZA MODRZEWSKIEGO

Do tej pory przyznano ponad 2 tys. awansów, czyli mniej więcej jednej piątej całej liczby sędziów. Z pewnością są wśród nich uczciwi prawnicy, sumiennie i w najlepszej wierze wykonujący swoją pracę, starający się moim zdaniem podążać ścieżką kariery. Tym zaufaniem raczej nie obdarzano osób ze szczególnie mocno zakorzenionym etosem niezawisłości i przywiązanych do zasady rządów państwa prawa; te zresztą same rozumiałyby, że aplikowanie w trakcie wojny o sądy kłóci się z poczuciem przyzwoitości. Sęk w tym, że teraz już nie wiemy, kto jest w głębi duszy niezawisły, a kto w chwili próby okaże słabość. Nie będą tego też wiedzieć stojący przed sądami obywatele.



RAFAŁ WOŚ,
PUBLICYSTA

Istnieje w katolicyzmie pewien szczególny zbiór grzechów. Można je nawet nazwać supergrzechami. Jest ich niewiele. Raptem tylko cztery. Kościół nazywa je oficjalnie grzechami wołającymi o pomstę do nieba. Wśród tych przewin, które bezpośrednio i drastycznie naruszają ustanowiony przez Boga na ziemi międzyludzki porządek, znajduje się „wstrzymywanie pracownikom wynagrodzenia”, a więc nic innego jak – mówiąc już językiem zupełnie świeckim – łamanie podstawowych praw pracowniczych. (...) Mamy często do czynienia z milczącym przyzwoleniem Kościoła

(tak hierarchii, jak i wiernych) na ekscesy realnego kapitalizmu. A czasem nawet ze współuczestnictwem w tych zjawiskach.



KINGA DĘBSKA,
REŻYSERKA

Kiedyś na planie serialu, kiedy zaczynałam swoją przygodę z reżyserią, podszedł do mnie znany aktor i zapytał protekcjonalnie: „To ty jesteś reżyserem”. „Ojoj”, westchnął. „No cóż, jakoś ci pomożemy”. Poradziłam sobie z tym aktorem, po prostu przez radio kazałam mu robić kolejne duble, bo wciąż byłam niezadowolona z jego gry. Zbaraniał, wściekł się. Głupia baba, wredna, myślał. Ale przestał mnie umniejszać, choć lubić mnie nie zaczął. Teraz nawet to mnie cieszy, kiedy ktoś zaczyna mnie lekceważyć na planie, bo wiem, że to tylko do czasu.



JOANNA KULIG,
AKTORKA

Zawód aktora jest obciążający psychicznie. A ja czasem jak się rozwijam, to trudno mi złapać równowagę. Dążę do spokoju, ale czasem wydaje mi się nieosiągalny. Ostatnio pozbyłam się z telefonu WhatsAppa. Ta łatwość w komunikowaniu się jest genialna, a jednocześnie staje się przekleństwem. Kiedy dostaję 200 wiadomości, to samo przeczytanie czy odsłuchanie ich zajmuje mi mnóstwo czasu. Wołabym poświęcić go na czytanie. Musiałam w końcu zapytać samą siebie, czy chcę iść na spacer z setką osób. Nie, chcę iść ze sobą. Więc już nie zabieram telefonu na spacer.



Z kosmodromu Bajkonur w Kazachstanie wystartowała rakieta Sojuz-2.1a. Polecieli nią na Międzynarodową Stację Kosmiczną trzej kosmonauci. Amerykanin Frank Rubio (pierwszy z prawej) oraz dwaj Rosjanie, Siergiej Prokopiew (w środku) i Dmitrij Petelin, dołączyli do siedmioosobowej załogi stacji. Ich misja potrwa 188 dni.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki...

PROF. JACEK PURCHLA
O ANDRZEJU MLECZCE

Artysta, humorysta, mędrzec, prorok, gorszyiciel i bluźnierca w jednej osobie.

NIKOLA GRBIĆ
O REPREZENTACJI SIATKARZY

Jestem bossem. Robię to, czego jestem pewny. Jeśli jestem do czegoś przekonany, to się nie uginam.

JERZY SKOLIMOWSKI
O PRZEPROWADZCIE

Z Malibu, gdzie miałem dom wiszący na skale, z widokiem na bezkres oceanu, na Mazury – do głębokiego lasu z poniemiecką leśniczówką i domem z bali.

HENRYK MARTENKA
O AWANTURNICZYCH KOBIETACH W TELEWIZJI

Program, w którym nie ma pań Kempy, Mazurek, Leszczyny, Lubnauer, Żukowskiej, Lempart czy Zawiszy, może nie być od razu mądrzejszy, ale łagodniejszy będzie na pewno.

ADAM SZŁAPKA O JACKU KURSKIM

Z tego, jak zatrut polskie społeczeństwo, będziemy wychodzić przez pokolenia.

DARIA ABRAMOWICZ
O GRZE IGI ŚWIĄTEK

Najtrudniejsze było znalezienie granicy pomiędzy energią a spokojem i solidnością na korcie.

MICHAŁ RUSINEK O TEŚCIE DNA

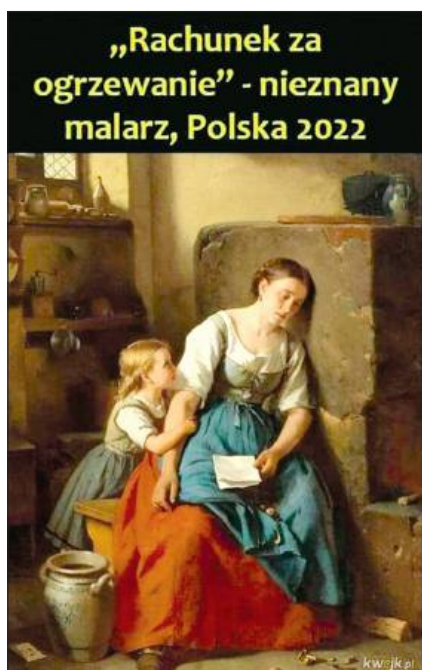
Mam 74% krwi zachodniopolskiej, 14% to, o dziwo, Grecja i Bałkany. Zupełnie tajemnicze 6% krwi maltańskiej i 2% irlandzkiej.

AGNIESZKA HOLLAND
O ROBERCIE WIĘCKIEWICZU

Ma wizerunek bawidamki, prostego chłopaka, ale to pozory. Jest delikatnym facetem, bardzo prywatnym i ciekawym intelektualnie.

MAREK DUTKIEWICZ O JOANNIE DARK

Zobaczyłem przepiękną osobę, która na dodatek niskim głosem mówi niegłupie rzeczy. Jesteśmy razem 30 lat.



Dobry lód (Ig) Nobla wart

Na Uniwersytecie Harvarda odbyła się kolejna ceremonia wręczenia Ig Nobli – nagród za osiągnięcia, które „najpierw rozbawiają, a potem skłaniają do myślenia”. Tym razem docenieni zostali naukowcy, którzy badali, jak zaparcia wpływają na perspektywy godowe skorpionów, uczeni, którzy wzięli pod lupę sceny rytualnych lewatyw ze starożytnej ceramiki Majów, autorzy algorytmu pomagającego plotkarzom zdecydować, kiedy powiedzieć prawdę. A także zespół z Polski, który dowiódł, że dokuczliwe skutki chemioterapii można łagodzić z wykorzystaniem lodów. W imieniu przyszłych pokoleń, również skorpionów i plotkarzy, serdecznie dziękujemy wszystkim wyróżnionym!

Z prochu powstałeś, w glebę się obrócisz

W USA kolejne stany legalizują kompostowanie jako metodę pochówku – do listy, jako piąta, dołączyła właśnie Kalifornia. Rozwiązanie polega na umieszczeniu ciała na 30-60 dni w stalowej skrzyni wypełnionej biodegradowalnymi materiałami, takimi jak wióry drzewne i kwiaty. Zwolennicy rozwiązania podkreślają, że nie przyczynia się ono do emisji dwutlenku węgla do atmosfery, a ponadto jest znacznie tańsze od kremacji: kosztuje 5-7 tys. dol., podczas gdy spopielenie zwłok – powyżej 13 tys. dol. Plusem jest też możliwość upamiętnienia zmarłej osoby poprzez wykorzystanie jej szczątków do zasadzenia drzewa. Bo w Ameryce możesz zostać każdym – nawet sekwoją!

Narcyzm zabija, niestety innych

Poziom narcyzmu prezydentów USA wpływa na czas trwania wojen za ich kadencji – ustalił doktorant na Uniwersytecie Stanowym Ohio, John P. Harden. Badacz wziął pod uwagę dostępne dane o osobowościach mieszkańców Białego Domu od McKinleya po Busha seniora. Jak tłumaczy, narcystyczne głowy państwa, takie jak Nixon, mają tendencję do wycofywania się z wojny, tylko gdy mogą powiedzieć, że wygrali, nawet jeśli jej przedłużanie szkodzi społeczeństwu; poza tym narcyzowie są nadmiernie pewni siebie i niechętnie przyznają się do błędów. Z kolei najmniej narcystyczni liderzy, np. Eisenhower, oddzielają interes osobisty od interesu państwa, postrzegają wojnę jako ostateczność i starają się jak najszybciej ją zakończyć. Szkoda, że zanim powierzmy politykowi stołek, nie możemy go postać na kozetkę.

Dobra, bo nowohucka

W Krakowie Zarząd Zieleni Miejskiej udostępnił wszystkim zainteresowanym nowohucki wzór literatury. Huta to krój pisma bazujący na wąskich literach, zaprojektowanych specjalnie dla Nowej Huty i charakterystycznych tylko dla niej, stosowanych tam w czasach Polski Ludowej na tablicach z nazwami ulic. Czcionkę, nadającą się do składania tytułów, nagłówków, plakatów i szyldów, znajdziecie pod adresem: bit.ly/Nowohucka. Lokalni patrioci z innymi dzielnic daliby się pokroić za własne kroje!

Niebo w (rozdziawionej) gębie

Psycholog z Uniwersytetu Oksfordzkiego, Charles Spence, nie ustaje w popularyzacji zachowań niekoniecznie zgodnych z bon tonem, za to poprawiających smak jedzenia. Okazuje się, że gdy jemy z otwartymi



Przygotowania do pokazu Halpern wiosna/ lato 2023 podczas londyńskiego Tygodnia Mody.

ustami, lotne związki organiczne łatwiej docierają do tylnej części nosa i pobudzają neurony węchowe, dzięki czemu postrzegamy przeżywane danie jako bardziej wyraziste. Jeść z szeroko rozwartą buzią warto zwłaszcza chrupiące pokarmy, gdyż w ten sposób maksymalizujemy także doznania słuchowe, również istotne dla przyjemności z jedzenia. Naukowiec nie zapomina o zmyśle dotyku i rekomenduje, by przynajmniej niektóre frykasy jeść rękami. Chcesz na podniebieniu poczuć niebiańską rozkosz? To do diabła z dobrymi manierami!

Dał im przykład Krzysztof Ibisz?

W reakcji na kryzys energetyczny brytyjski teleturniej „Spin to Win”, emitowany przez ITV, do puli nagród uwzględnionych na kole fortuny dopisał sfinansowanie czteromiesięcznych wydatków na prąd. Pomysł interesujący, ale nie nowy. Wyspiarzom mógł go podpowiedzieć choćby ktoś z Polsatu, na antenie którego w „Życiowej szansie”, nadawanej w latach 2000-2002, można było wygrać pokrycie rachunków zabranych ze sobą do studia. Czyżby mieli w stacji Solorza jakąś wtyczkę?



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogotkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



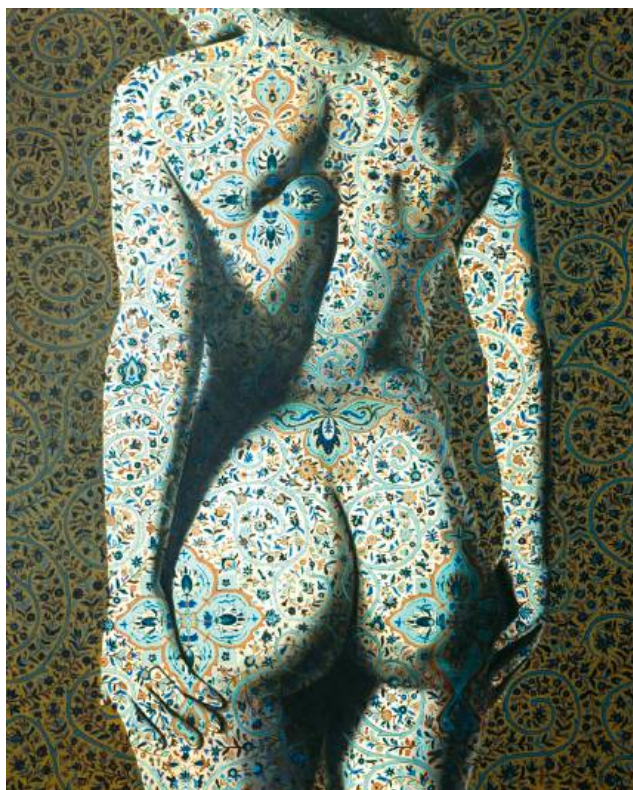


DEKORATORIUM

Malarstwo jest dla Ewy Podlodowskiej czymś na kształt kodowania rzeczywistości. Artystka zapisuje swoje postrzeganie tego, co nas otacza, tworząc dekoracyjną opowieść opatrzoną odpowiednimi odniesieniami. Obrazy przypominają arras czy gobeliny – niewątpliwie wpływ na jej twórczość miały prace konserwatorskie, które okazjonalnie wykonuje do dziś. Jak sama mówi,

nauczyły ją one dokładności, cierpliwości, szacunku dla poprzednich epok i stylów w malarstwie oraz specjalistycznych technik.

Galeria Gardzienice
Lublin, ul. Grodzka 5a
do 3 października





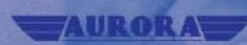
ENERGETYCZNY! ŁOBUZERSKI! ROZBRAJAJĄCY!

DZIEWCZYNY

*PEŁNA PASJI HISTORIA
O NIEŁATWYM WCHODZENIU W DOROSŁOŚĆ*

REŻYSERIA ALLI HAAPASALO

W KINACH OD 30 WRZEŚNIA



Afry Kamera

#BLACK
FILMS
MATTER

30.09-09.10.22

WARSZAWA / KINOTEKA

22-31.10.22

ONLINE

ORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



STATE STREET

partnerzy



Going



WSPÓŁORGANIZATOR

